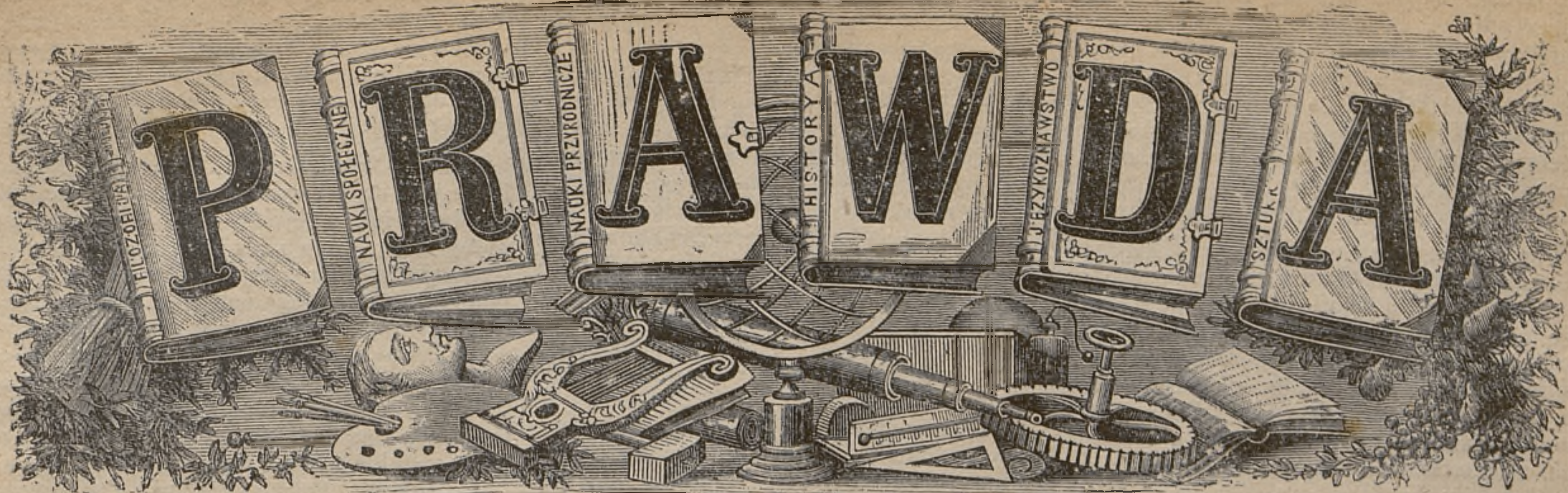
№ 11. Warszawa, dnia 16 (4) Marca 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Abdykacya Milana. — Z Galicyi p. Leszka. — Tydzień polityczny. — Szkice wiejskie. 13. Pierwszy pacyent p. X. X. — *Życie społeczne*: Złudzenia demokratyczne. V. Programy a życie p. K. R. Żywickiego. — Listy petersburskie p. N. B. — Z nad Dunaju p. Stwosza. — *Badania naukowe*: Autosuggestya A. Landego. — Wynalazki p. A. Pawlowskiego. — *Literatura i sztuka*: Malarstwo. I. p. Kobalta. — Teatr p. Adama Nowickiego. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. abonentom kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerw i opóźnień w odbiorze **Prawdy**.

POLITYKA.

ABDYKACYA MILANA.

Za wiele tak zwanych „sfer interesów“ przecina się w Serbii, ażeby abdykacya Milana mogła być prędko wyczerpaną przez prasę europejską. Jej powody mniej budzą zajęcia, bo są dosyć widoczne. Król, z natury samowładny, odstąpiwszy w nowej konstytucyi znaczną część swych praw skupczynie i otrzymawszy z ostatnich wyborów taką, do jakiej czuł największą odrazę, znalazł się w położeniu, któremu już sprostać nie mógł. Przewidywaliśmy tę jego niemoc, pisząc w roku zeszłym (nr. 45): „Nie ulega wątpliwości, że dla Milana IV nadchodzi chwila rozstrzygająca, od której zależą jego losy i posiadanie korony.“ Podobnież przed trzema miesiącami (nr. 1) twierdziliśmy: „Cokolwiek rok nowy przyniesie innym narodom, niewątpliwie w życiu Serbii stanowić będzie epokę... Tłum urządził (przy końcu grudnia) w Belgradzie manifestacyę nieprzyjazną Austryi, wybijał szyby, złorzeczył przed konsulatem itd. Milan, który w swym tytule monarszym mógłby słuszniej używać: „z woli Austryi,“ niż „z woli narodu,“ nie patrzy spokojnie na to rozbijanie jego bożyszcz. Czy i jak się pogodzi z nowym kultem — zobaczymy niedługo.“ I zobaczyliśmy, że się nie pogodził. W pożegnalnej odezwie do narodu tak tłomaczy się ze swego kroku: Jako panujący przez szereg lat w okresie przejściowym, byłem świadkiem i uczestnikiem... dłem burzliwe walki, zarówno wewnętrzne, jak zewnętrzne. W walkach tych i ciężkich przejściach stargałem siły, które mi nie wystarczą do pracy w nowym okresie życia narodu i których resztki, czyniąc zadość obowiązkowi patryotycznemu, poświęciłem ustanowieniu nowej konstytucyi. Te „stargano siły“ są głównym motywem żałosnego hymnu. Ale chociażbyśmy uwierzyli temu wyznaniu, które zresztą potwierdza się doniesieniami o częstych atakach nerwowych króla, to w każdym razie brzmi ono dziwnie. Milan bowiem, mężczyzna trzydziestokilkoletni, nie czuje się zdolnym do dźwigania ciężaru, który wkłada na ramiona dwunastoletniego syna, wątłego dziecka, tęskniącego do matki, wstępującego na tron z zapłakanemi oczami. Wprawdzie dał on mu za opiekunów Risticza, Proticza i Belimarkowicza, ale tych samych „wytrawnych, doświadczonych i mądrych mężów stanu“ mógł również wziąć sobie do pomocy i wyręki. Jeżeli tedy Milan w swym manifeście powiada, że nie ma prawa podejmować za trudnej dla niego pracy i „przez wzgląd na syna,“ to doprawdy zapłakany i ledwie umiejący przy obiedzie sam krajać sobie mięso „król Aleksander“ stanowi wymowną ilustracyę ojcowskiej czułości.

Powszechny głos utrzymuje, że abdykacya Milana jest tryumfem polityki ruskiej. Jest to wniosek zupełnie prawidłowy: boć jeżeli znaczną większość w skupczynie stanowią radykalni, sprzyjający Rosyi, jeżeli na czele regencyi stanął Risticz, jeżeli ustąpił z tronu sojusznik Austryi, to nic innego wyrozumować niepodobna. Nowy rząd jednak nie wywiesił tej chorągwi wyraźnie. Na wodę ogólników puścił jedynie to kółeczko oleju, że będzie się starał o „zachowanie przyjaźni mocarstw, którą król Milan zjednał“ — co nie wyraża żadnej myśli określonej.

Prasa ruska przyjęła zmianę rządów w Serbii bardzo przychylnie.

Zsumowawszy tedy skutki abdykacyi Milana, widzimy, że on na długie lata wytworzył w Serbii faktyczne bezkrólewie, rozbudził uśpione nadzieje straconej dynastyi Karagieorgiewiczów i zaostrzył walkę wpływów zewnętrznych. Austrya bowiem, pozbawiona sprzymierzeńca, wzmocni swe zabiegi ku naprawieniu straconej równowagi i wywoła odpowiednie przeciwdziałanie. Risticz po raz drugi ujmuje naczelny ster rządów w Serbii: był Mentorem Milana, a teraz będzie przewodnikiem Aleksandra. Pod jego skrzydłami ojciec wychował się dość szczęśliwie, więc i syn ma w tem poprzednictwie rękojmię, że na jego pasku przepłynie lata małoletności. Ale czy tej rękojmi nie osłabia zmiana warunków? Dwadzieścia lat temu łatwiej było i wyhodować pacholę królewskie i władać krajem, stanowiącym część wielkiego mocarstwa. Dziś trzeba prowadzić — jak oświadczył Risticz — politykę serbską, ale równolegle rozmaite polityki zewnętrzne, wzajem się wyłączające, od których dawniej Serbia była wolną.

Bądź co bądź, trzeba być niepoprawnym optymistą, ażeby twierdzić, że ustąpienie Milana nada procesom politycznym na półwyspie Bałkańskim przebieg łagodniejszy, że uspokoi wrzenie i ochłodzi namiętności. Według nas, rezultat będzie całkiem przeciwny.

Z GALICYI.

Lwów, 7 marca.

Tryumf Galicyi. — Gromy z ust prezesa Koła polskiego.—Lekcya dla rządu. — Biedny Dunajewski.— Tak lub nie do ministra oświaty. — Bohaterstwo i jego pobudki. — Uzasadnione podejrzenia. — Skutek mowy. — Uczta.

Święcimy tryumf nie lada! Na szali losów rządu wiedeńskiego zaważyły potężnie gro-

żne słowa, wypowiedziane przez prezesa Koła polskiego: „Czcigodni panowie z ławy ministeryalnej! Macie budżet; od was zależy, abyście mieli także nasze zaufanie!“ Tak grzmiały pociski wyrzucane z ust dostojnego prezesa Koła a pociskom tym wtórowały huczne oklaski pięćdziesięciu ojców narodu, których błyszczące oczy jaśniały dumą a policzki rumieniły się od wzruszenia.

Więc odważyli się wspomnieć o zaufaniu, więc mówili, że Galicya ma także swoje potrzeby, z którymi nikt się nie liczy, więc napomknęli coś o konieczności harmonii między państwem a poszczególnymi krajami i o uwzględnianie ich interesów! Nie, tego jeszcze nie bywało. Wspaniały gmach parlamentu drżał pewnie w posadach a Taaffe i Dunajewski oglądali się, czy istotnie siedzą jeszcze na fotelach ministeryalnych.

A przecież tak było istotnie. Mówili. Głuche wieści krążyły już od niejakiego czasu, że przy rozprawach ogólnych nad budżetem Koło wystąpi ze swym programem, były nawet jakieś posiedzenia, których wynik, jak zazwyczaj, uchwalono trzymać w tajemnicy — nikt jednak w kraju nie brał tego na seryo w obec licznych doświadczeń przeszłości. Tymczasem 27 lutego rozniósł telegram światu, że pan Jaworski przemówił podczas rozprawy budżetowej i postawił rządowi aż cztery stanowcze i niezbędne żądania imieniem Koła polskiego. Oczywiście nie poszedł tak daleko, ażeby zatwierdzenie budżetu uczynić zawisłem od uwzględnienia tych pragnień. Broń Boże! Polacy, to naród rycerski, nie plami się kramarstwem. Z góry już zastrzegł się p. Jaworski przeciw podobnemu posądzeniu. „Deputowani z Galicyi — mówił — zawsze stali na tem stanowisku, że uchwalenie budżetu uważali za konieczność i nigdy z tem nie wiązali kwestyi zaufania dla rządu. Tak samo i dziś. Głosują za budżetem, ale przy tem nie stawiają, ani też nie chcą stawiać żadnego warunku, nie czynią żadnych wniosków co do zaufania, lecz głosują w poczuciu konieczności państwowej.“

Wyobrażam sobie, że ten wspaniały wstęp zrobił wrażenie. Co za szlachetna polityka — mówili pewnie głośno czesi — śmiejąc się po cichu w kułak a ks. Lichtenstein z uznaniem kiwał głową, mrugając nieznacznie okiem. Kiedy tak, należy cierpliwie i grzecznie wysłuchać do końca — szepnęli do siebie ministrowie, udając niezwykłe zajęcie i zainteresowanie.

Ale zaczęły się gromy. Nie da się już zaprzeczyć—mówił p. J.—że stoimy po wielu latach wobec faktu pocieszającego: niedobór zniknął już z administracyi gospodarstwa państwowego. Teraz więc kolej na rząd usłuchać poważnego ostrzeżenia i zająć się uporządkowaniem ekonomicznego położenia ludów. Ma on poważny obowiązek zbadać usprawiedliwione skargi, uzasadnione życzenia i niezbędne potrzeby, powinien wystąpić porządkując, pomagając i kojąc, ale powinien postępować energicznie i systematycznie.

Po tych gromach ogólnych spadły szczegółowe. Zatrzęsła się przedewszystkiem biedna głowa p. Dunajewskiego pod ich ciężarem. P. Jaworski bowiem przypomniał mu rozmaite opinie, wypowiedziane w komisyach Izby, w których żądano, ażeby z powodu podniesienia się dochodów państwa *zechciał* uwzględnić niektóre nadzwyczajnie uciążliwe gatunki podatków. Uregulowanie bezpośrednich jest naglącą potrzebą ludów austryackich — grzmiały słowa mówcy — potrzeba usunąć należytości, które uciskają szczególnie ludzi uboższych i które są w zasadzie niesprawiedliwe a w wykonaniu dowolne! Konieczne to dla wszystkich a dla Galicyi przeciążonej długami przedewszystkiem. Załatwienie sprawy indemnizacyjnej, to drugie żądanie tego kraju, żądanie nie dające się uchylić, które spełnionem być musi jako słuszne prawo, ponieważ Galicya nie może być traktowaną inaczej, niż inne kraje koronne!

Z kolei padł grom na głowę ministra sprawiedliwości: „Sądownictwo w Galicyi niegdyś było instytucyą wzorową i dopiero później zeszło do tego poziomu, na którym obecnie się znajduje. Dobra opieka prawna jest jednym z głównych warunków dobrobytu ludu a więc szybka pomoc w tej mierze jest konieczną!“

Wreszcie zwrócił się p. Jaworski i do kierownika oświaty: Pan minister życzliwie wyraził się o żądaniu uzupełnienia uniwersytetu lwowskiego wydziałem lekarskim. Raczy tę życzliwość i nadal zachować, ale my chcielibyśmy usłyszeć raz stanowczo *tak* lub *nie!*

Energia, stanowczość i męska dzielność na każdym kroku... Przedstawiciele Galicyi przez usta swojego prezesa wypowiadają publicznie, że oprócz Austryi mają jeszcze ściślejszą ojczyznę, która przy sprzyjających warunkach chciałaby otrzymać jakiś ogryzek ze wspólnego stołu. Co za bohaterstwo!

Tak, po tylu latach bohaterstwo! Niedaleko już do nowych wyborów sejmowych a jakkolwiek wyborcy — to naród potulny, który daje się wodzić na pasku obiecanek i głosuje na tych samych ojców narodu, to jednak... strzeżonego pan Bóg strzeże. Niegodziwi warchołowie prasy trąbili na wszystkie strony o niedołęztwie Koła i uległości wobec rządu — może tam gdzie poprzewracali w głowach niektórym, teraz muszą zamilknąć, teraz można śmiało stanąć wobec niezadowolonych. A przytem dobrze i rządowi pokazać trochę pazurów. Propinacya jeszcze w grze, niech więc on się strzeże i nie drażni interesowanych...

Gdybym się mylił i gdyby ten pierwszy krok, bądź co bądź odmienny od dotychczasowej polityki potulności, oznaczał zwrot i jakąś programowość, to doprawdy nie byłoby chyba nikogo pomiędzy przeciwnikami rządzącego u nas i w Kole polskiem stronnictwa, któryby temu wystąpieniu nie przyklasnął. Co prawda, mimo całego krzyku i hałasu, niema w mowie Jaworskiego tej siły, jaką daje poczucie znaczenia i wartości stronnictwa, niema] żądań stanowczych w tej formie, jakiej używają posłowie czescy lub też węgrzy wobec Przedlitawii, tylko raczej wyliczenie usterek administracyi i przypomnienie życzeń, które *należałoby* raz zaspokoić; ale w każdym razie sam fakt, wystąpienia prezesa Koła polskiego w imieniu kraju i ujęcie razem tych skromnych pragnień na swoją wartość, której zaprzeczać nie myślę. Niestety jednak mam powody do niedowierzania, czy tej sprawie można nadać poważniejsze znaczenie. Pomijając już bowiem podejrzenia, o których powyżej napomknąłem, liczę się przedewszystkiem z tym faktem, że przecież w Kole właściwie nic się nie zmieniło. Umarł wprawdzie Grocholski, ale stronnictwo u steru to samo, ludzie ciż sami. Lata biegły, opinia kraju naciskała na nich a jednak czynów nie było. Odgrażali się nieraz, że w tej i owej sprawie nie ustąpią a jednak ustępowali zawsze. Przeszłość mówi przeciw nim, to nie ludzie czynu. Tu jednak właśnie czynów potrzeba.

SZKICE WIEJSKIE.

13. Pierwszy pacyent.

Jakie to szczęście, że właśnie przyjechał do dworu młody pan, co ma być lekarzem wiejskim!

Taki straszny wypadek przytrafił się młynarzowi: wszedł reperować napiór, śmiga złamała się i stary spadł — zabił się.

Trudno dopytać zapłakanej wnuczki o szczegóły. Sama nie wie, czy on jeszcze żyje.

Przynieśli dziadka Połomscy do izby, a ona prosi pana, żeby zaraz szedł zobaczyć go.

— Ale co za szczególny traf — myśli młody — właśnie czytałem o wstrząśnieniu mózgu.

Tak, będzie to ciężki wypadek, ale zarazem efektowny; mógłby go zupełnie podnieść w oczach całej wioski; wczorajsze bowiem bańki niekorzystne musiały sprawić wrażenie.

Rzeczywiście, nieszczególne; ale jakżeby mogło być inaczej, kiedy pan poparzył starą Jędrzejkę i w dodatku ani jedna bańka nie naciągnęła. Poprostu nie umiał.

Nikt też nie wie, ile potem młody lekarz napsuł spirytusu i naparzył pleców ogrodniczkowi, zanim się wprawił w tę czynność.

Ogrodniczek nie powie, bo choć go plecy piekły do wieczora, ale ściskał dwuzłotówkę w garści i pocieszał się nią.

Powiedział mu bowiem pan:

— Masz to, a nie pleć przed nikim.

Młody lekarz przedstawia sobie całe zdarzenie i rozmyśla nad sposobami leczenia.

Trzeba pewno będzie pijawki postawić, albo krwi puścić; widział to tyle razy w klinice — bezwątpienia pójdzie mu lepiej, niż z bańkami.

Wraca więc po lancet, każe przytem dać lodu, wina, wszystko to może być potrzebne.

We wsi ruch niezwykły; jedni jeszcze nie spali, inni z łóżek się zrywają, lecą do chaty młynarza. Przez drogę robią różne przypuszczenia, a każdy inaczej opisuje. Wszyscy godzą się na jedno, że młynarza szkoda. Taki porządny, uczony człowiek.

— Zaniosłem właśnie z bratem żyto na wiatrak — opowiada Połomski — patrzę, a stary leży bez duszy. Ja go zaraz z ziemi podnoszę, a brat mówi: daj pokój, bo jeszcze powiedzą, żeś go zabił, tak jak na Antośka w Sosnowie. Czekaj, skoczę do wsi po sołtysa. Ale ja sobie mówię, że on się będzie zabawiał, a tymczasem młynarz umrze, a może mu jeszcze jaki ratunek dać można. Więcem go wzięli na ręce i zanieśli do chałupy; nie zaciężył wiele, taka grochowinka!

Gortat zaręcza, że młynarz musiał już leżeć dobrze z godzinę, bo jak on pędził krowę, to słyszał wyraźne jęki koło wiatraka, ale się tylko przeżegnał i nawet głowy nie odwrócił.

Ktoś w gromadce robi przypuszczenie, że może on nie sam zleciał, może mu kto dopomógł. Jak człowiek na człowieka ma złość, to i na życie jego dybie.

Połomski oburzony tłomaczy, że przecież nie z wiatraka zleciał, bo śmiga złamana leżała koło niego.

W chacie już pełno ludzi, przecisnąć się trudno; duszno choć okna pootwierane.

Na samym środku izby leży młynarz na podłodze; rozesłali mu pościel, okryli pierzyną, kożuchem; tak go „zimno trzęsie.“

Chory zupełnie nieprzytomny, nie mówi nic, tylko niewyraźnie mruczy i jęczy.

Rozstąpili się przed lekarzem.

Mężczyźni umieścili się „w głowach“ chorego, posiadali na łóżku, na ławie, stoją: baby pod piecem.

Stara młynarka trzęsie męża za ramię.

— Stary! a patrzeno, pan wielmożny do ciebie przyszedł. A widziszże, sam pan łaskaw, nie brzydzi się nami, przyszedł do ciebie.

Koniecznie go chce tą radosną nowiną otrzeźwić. Przykro jej też, że stary pana nie wita, zrobiła to sama kilkakrotnie.

Baby wszystkie popodpierały brody rękami i „medytują;“ taki straszny i niebywały wypadek odjął im na razie mowę.

Wystąpienie Jaworskiego może być uważane zaledwie jako wstęp, po którym musi nastąpić działanie i to działanie skuteczne, przynoszące owoce. W przeciwnym razie trzebaby tylko zaśmiać się i zawołać *vox, vox, praeterae nihil*. Do słów, do chwalby wzajemnej i adoracyi łatwi są wszyscy ale też na tem koniec.

Najciekawszem jest, jak członkowie Koła przyjęli mowę prezesa. Że oklaskiwali go przy przy każdym wybitniejszym ustępie, dosadniejszem wyrażeniu, to naturalne: połączyli się z nim zupełnie, dumni byli z niego. Ale że nie mieli nic pilniejszego, niż natychmiast urządzić bankiet dla mówcy, to istotnie... paradne. Wystąpienie Jaworskiego, który sam zaznaczał w swej mowie, że spełnia jedynie obowiązek, podniesiono do rzędu niebywałego bohaterstwa. Posypały się toasty z ust Czerkawskiego, który sławił go za skuteczne podniesienie programu (!) Koła — potem z ust Niemczywarskiego (niby skrajna opozycya!), który oświadczył, że po nocy (śmierć Grocholskiego) zajaśniało znowu słońce i życzył, żeby świeciło jak najdłużej. Czy to nie zabawne? Czy można po tych ludziach spodziewać się czynów? Już z tego bankietu i tych toastów widać, że należy bardzo ostrożnie stawiać wróżby na przyszłość i nie dowierzać zbyt znaczeniu mowy p. Jaworskiego. Nowy prezes pokazał się i — na tem koniec. Obym był fałszywym prorokiem.

P. S. Nie chcę się zbyt rozpisywać, ale uderzyła mnie jedna rzecz. Regulacya rzek, to sprawa dla Galicyi zasadniczego znaczenia, chodzi o miliony gospodarstwa krajowego, miliony przepadają corocznie a rząd zrobiwszy raz obietnicę zupełnie o niej zapomniał. Dlaczego p. Jaworski tę sprawę pominął całkowicie w swej mowie? Czy może był zdania, że tam, gdzie istotnie potrzeba poważnej sumy pieniężnej, lepiej nie stawiać żądań, aby się nie wycofywać, czy też to wynik jakichś tajnych porozumień? W każdym razie to charakterystyczne.

Leszek.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na nowe ministeryum francuskie wszystkich wytrzeszczają oczy. Wybrane od biedy, z wyraźnem przeznaczeniem krótkotrwałości, ogłoszone za wiecheć do zatkania dziury, okazało się niezwykle energicznem. Przedewszystkiem powykręcało z ukrytych dziupli gniazda Ligi narodowej, zabrało jej papiery a przywódcom wytoczyło proces. Między nimi jest kilku posłów i jeden senator, z których Izby zdjęły nietykalność i wydały sądowi. Czy na ławie oskarżonych zasiądzie również Boulanger — dotąd nie wiadomo. Rząd jednak głównie w niego mierzy i jak gdyby chciał zamienić go na ks. d'Aumale, który po trzyletniem wygnaniu otrzymał pozwolenie powrotu do kraju. Jak wiadomo, stanowi on perłę między pretendentami francuskimi, jest rzetelnym patryotą i człowiekiem bardzo ofiarnym. Tak np. Akademii darował majątek, wynoszący 30 milionów franków. Boulanger, będąc demokratą, tajemnie wypraszał sobie łaski u tego pana, później zostawszy ministrem, głosował za wygnaniem go z kraju. Wielce też niemiłym dla kameleona jest powrót tego świadka jego przeszłości, przypominającego mu zmieniane barwy. Jeżeli proces przeciwko Lidze patryotycznej dowiedzie istotnie niebezpiecznych jej knowań i udziału w nich Boulangera, jegomość ten może zwekslować się z ks. d'Aumalem i pojechać na rozmyślanie do Belgii. W każdym razie śmiałe rozgrzebanie roju os Ligi jest dowodem wielkiej odwagi ze strony rządu. Bo nie należy zapominać, że każdy związek, który ciągle miele frazesy patryotyczne a jak we Francyi — pobrzękuje szablą odwetową, ma sympatyę tłumów, które w nim widzą zbawienie. Niewyłączoną też jest z prawdopodobieństw możliwość, że sąd, powołany do rozstrzygnięcia sprawy, uniewinni krzykaczów.

Paryż doczekał się znowu olbrzymiego „krachu" — miedzianego. Czytelnikom naszym znany jest potworny szwindel, prowadzony w Europie przez gromadę bogatych rabusiów w handlu rozmaitymi metalami. Otóż jeden z banków paryskich udusił się we własnych sidłach. Daremnie usiłują go uratować i przywrócić do życia wspólnicy, między którymi główne miejsce zajmuje Rotschild. Wrzucono już podobno w otchłań kilkaset milionów, a jeszcze niezapełniona. Bądźmy wszakże spokojni: rekiny morza finansowego i przez tę nić się przebiją.

Natomiast sprawa kanału Panamskiego zdaje się dla kapitalistów francuskich straconą. Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych wydał energiczne orędzie, w którym obiecuje zagrodzić drogę europejczykom w tem przedsięwzięciu i wogóle otoczyć Amerykę murem ochronnym. Na tych przyrzeczeniach zwłaszcza co do ceł wypłynął i teraz je spełnia.

Nie bacząc na to Anglia powiększa znacznie wydatki na marynarkę wojenną.

Prezesem Koła polskiego w sejmie pruskim, po zmarłym Magdzińskim, wybrano Leona Czarlińskiego.

Crispi utworzył gabinet, ale nowa maszyna nie działa prawidłowo. Przeszkadza jej ciągły nacisk opinii, usiłujący złamać politykę przyjaciela Bismarkowskiego, zaprowadzić daleko sięgające oszczędności i zwrócić się do spraw wewnętrznych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZŁUDZENIA DEMOKRATYCZNE.

V. Programy a życie.

Przeszłość historyczna przekazała nam w spadku granice państwowe i narodowościowe, lecz nowoczesny rozwój ekonomiczny ponad temi przegrodami, już sztucznemi, już naturalnemi, rzucił pomost wzajemnej zależności i powiązał cały świat cywilizowany w jeden olbrzymi organizm wymienny. Wprawdzie oddzielne kraje mogą przedstawiać mniejszą lub większą zawisłość, ale same węzły wzmagają się bez przerwy i coraz silniej spajają pojedyncze terytorya. Odpowiednio do tego, jakkolwiek rozwój społeczny w oddzielnych okolicach tego międzynarodowego zbiorowiska wymiennego może nosić na sobie piętno historycznej przeszłości kraju, wszędzie jednak kształtuje się zgodnie z tętnami ekonomi-

Tylko synowa młynarza rozprawia.

Ona zaraz przepowiedziała, że się tak stanie, (pokazuje pięścią na młynarkę).

— Wypędziła go na noc, takiego starego. Mówi: „a idźże, a zreparujże ten napiór," aż i zreparował.

Mój Boże, toć ona mu i „zjadła" żałowała; takiemu staremu, żeby to kurę, jajeczko ugotować na posiłek, to nie! Świątek i piątek sałata. Nieraz, mówię paniom, weźmie w gębę, położy łyżkę i wychodzi z izby. Patrzta same, toć to skóra i kości, tak go ususzyła.

Doktór puka właśnie starego, osłuchuje, porusza mu głowę. Młynarzowi chude piersi wznoszą się tak wysoko.

Pewno już kończy — trapią się baby. Co prawda miały niektóre żal do młynarza za złe mlewo, duże miarki, ale mu teraz żadna tego nie pamięta; przypominają sobie tylko dobre strony nieszczęśliwego.

— Kto nam teraz będzie listy pisywał, albo i rekruckie przeczyta? Kto pomodli się przy umarłym?

— Jakie to śliczne pieśnie przy konających czytywał — szkoda go!

— Różaniec razem wieczorami śpiewywalim, niejedno ciekawe opowiedział i na taki koniec mu przyszło!

A synowa tylko lamentuje, że nawet przed śmiercią „nie podjadł." Jak ona (niby młynarka), miała sumienie takiemu staremu nawet gorącej strawy nie uszykować, ale cóż, miała go na pozbycie. Toć też go się i pozbędzie.

Tymczasem lekarz żąda pijawek.

Marchleńska ma zawsze pełen słoik, ale już je stawiała dziewusze kowala, przynosi jednak i te.

Przystawia je młody lekarz do nosa, ale jakoś nie przyczepiają się. Wszyscy zatamowali oddech, patrzą.

Połomski szepcze, że co jemu tam pijawki znaczą, kiedy w nim kropli krwi niema.

Wogóle cały system leczenia podlega surowej krytyce.

Pan położył lud na głowę, a młynarza i tak zimno trzęsie.

Inny doradza, żeby go tak okryć, żeby się zapocił, toby mu najlepiej pomogło.

Tego samego zdania są wszyscy, nawet Zielon, choć cierpliwie przytrzymuje lód, żeby się z głowy nie zsuwał.

Doktór słyszy wszystko, ręce mu się trzęsą.

Marchleńska widzi, że już ona musi pomódz, jej nie „pierwszyzna" stawiać pijawki.

Stawiają więc oboje, za uchem.

Baba robi doktorowi uwagę, że jakże się pijawka miała przyjąć, kiedy pan złą stroną przystawiał, przecież to nie pysk! Postawiono nareszcie.

Marchleńska jest ciągle pod pachą doktora, uważa to sobie niejako za obowiązek. Świeci mu, pomaga odejmować pijawki, tamować krew.

Baby się rozruszały; posypują odjęte pijawki solą, żeby krew z siebie wypuściły, mówią, że tak mogą się jeszcze przydać.

Połomski robi uwagę, że „drugiemu" to się wcale pijawka nie chce przypiąć. Sprzeczają się z tego powodu z Marchleńską. Ona mało sześćdziesięciu chorym stawiała i zawsze się czepiały.

Baby znów desperują, że taka krew blada, ale je Marchleńska pociesza, że to nic, ona właśnie myślała, że już wcale zastygła, ale widzi, że się jeszcze w młynarzu duch kołacze.

Ułożyli starego na łóżku, doktór zalecił lód na głowę, gorczycę do nóg i inne konieczne środki. Wlał mu wina w usta, a gdy młynarz zrzucił, ścisnął mu nos i znowu wlał — stary połknął.

Baby dziwią się, jakie to oto sposoby na świecie mają: ścisnąć za nos i musi połknąć. Adamka tylko nie dziwi się, bo ona dawno ten sposób na kostku wypróbowała. Ile razy chłopak dostanie „ograszki," to ona mu zawsze wiadome lekarstwo leje tak oto, jak pan doktor młynarzowi: nos ściśnie i po wszystkiem.

Młynarz pierwszy raz przemówił wyraźnie:

— Jezus Marya! ratujcie! ratujcie!

Wrażenie było ogromne, rodzina chorego w płacz. Kiedy stary przemówił, to może wszystko będzie dobrze.

cznemi, wychodzącemi z najmocniej pulsujących prowincyj. To też niepodobna kreślić formuły przyszłego rozwoju ekonomicznego według wzorów życiowych, przedstawianych przez kraj pojedynczy, lecz z konieczności wypada ją rzucić na tło owego organizmu międzynarodowego.

Dokąd podąża jego rozwój? Jakeśmy wspominali, ewolucya wśród społeczeństw terytoryalnych postępuje w sposób żywiołowy. Próbowaliśmy nawet wyznaczyć główne czynniki tego rozwoju. Tu powtórzymy je w kilku słowach i zarazem uzupełnimy. Otóż społeczeństwo obecne składa się z mnóstwa wytwarzających na sprzedaż gospodarstw prywatnych. Przytem w zakresie przemysłu przerabiającego mamy do czynienia z bezustanną dążnością wytwarzania ponad potrzeby rynku. W walce współzawodniczej utrzymać się mogą gospodarstwa taniej wyrabiające, taniość zaś tę zyskuje się przez stosowanie wydajniejszych metod produkowania. Uskutecznienie jednak tego nie jest rzeczą jednostkowej dowolności, gdyż sprawa sama zależy od funduszów, które jednostka może włożyć w przedsiębiorstwo. W ten sposób wzmaganie się wytwórczości społecznej jest czemś jeszcze więcej — powstawaniem coraz znaczniejszych zakładów przemysłowych, stosujących potężne siły maszynowe, i jednocześnie zanikaniem mniejszych, np. rzemieślniczych. Lecz nietylko drobna produkcya rzemieślnicza, o ile nie jest artystyczną, popada w ruinę. Podobny los spotyka i przedsiębiorstwa drobne, oparte już na maszynie. Wielki kapitalista doprowadza do bankructwa wielu drobniejszych, tem bardziej, iż zwykle w większym stopniu czerpie z kieszeni państwa i korzysta z przywilejów kredytu i taniego przewozu. Przed małymi kapitałami widnieje jedna droga ocalenia — łączenia się w towarzystwa akcyjno-wytwórcze, lecz zbyteczna dodawać, że zbawienie to uniemożliwia tylko samodzielne bytowanie przedsiębiorstwa drobnego. Zepchnięci z wyżyn kapitalistycznego lub rzemieślniczego istnienia, zamieniają się powoli na najmitów u wielkich przedsiębiorców, już podrzędniejszego, już wyższego stanowiska. Ale przemysł zmiata nietylko drobną produkcyę przerabiającą. Jakeśmy widzieli, czyni to samo względem drobnej uprawy roli. Jakoż przeprowadza on przez kraj drogi komunikacyjne, w oddalonych okolicach stawia fabryki, zakłada targi itd., wszędzie zaś kusi włościanina do wymiany produktów, ukazując mu sakwę z pieniędzmi. W dalszym ciągu, dla zdobycia i obrony zagranicznych rynków zbytu, wreszcie dla utrzymania istniejącego porządku publicznego, musi 'domagać się zwiększenia potęgi państwowej — w ten sposób militaryzm ponickąd przestaje być wynalazkiem „dzielnego“ Moltkego, lecz zjawia się jako wyraz nader istotnych potrzeb tegoczesnego społeczeństwa. Wiemy, co to wszystko oznacza — jest to zmuszenie włościanina do porzucenia naturalnych kolei i zarazem rzucenie go w uściski lichwiarza. Ostatecznie rozwój ekonomiczny społeczeństwa tegoczesnego niesie zagładę nietylko drobnemu i średniemu mieszczaństwu, lecz jednocześnie i włościanina pogrąża w otchłań nędzy; jeżeli zaś wśród wielkiej własności ziemskiej znajdą się energiczne ręce i przebiegłe głowy, a przytem ogrodnictwo i podobne zajęcia nie ocalają drobnej uprawy roli, postęp przemysłu przerabiającego pomaga wsiąkaniu małych gospodarstw włościańskich w obszary dworskie, niezależnie od ukształtowania stosunków na rynku zbożowym. Słowem, zanikanie ekonomicznej niezależności warstw średnich i wypieranie mniej zasobnych kapitalistów przez wielkie i zbiorowe kapitały, wrzucenie stanu włościańskiego w ciasną arenę pogoni za groszem i w dalszym ciągu zamiana na parobków lichwiarza lub zupełne wywłaszczenie z ziemi, wreszcie przenoszenia środka ciężkości zaludnienia ku miastom, oto są następstwa bezpośrednie obecnego okresu przemysłowego. Zamiast dawnej różnobarwności stosunków posiadania i warstw, społeczeństwo zmierza ku wyrównaniu tego, oraz zatopieniu wszystkich grup w dwóch, związanych z rozwojem nowoczesnych metod produkowania: wielkich przedsiębiorców i najmitów. Anglia przewybornie uwidocznia tę dążność. Dochód narodowy za okres czasu 1812—1868 podniósł się tam z 383 do 814 mil. funt. sterl.; zresztą liczby te dają zaledwie słabe pojęcie o istotnym wzroście produktu społecznego, gdyż równolegle przez cały ten przeciąg mamy do czynienia z bezustannem a stałem spadaniem ceny wytworów fabrycznych. Jednocześnie ludność wzrosła z 17 mil. głów do 30. Otóż nader ciekawą jest zmiana w rozmieszczeniu ludności i dochodu pomiędzy rozmaite warstwy. W roku 1812 klasa najmicka wynosiła 50% ludności, w r. 1868 doszła już do 77%, tymczasem posiadająca spadła z 40 na 20%. Jest to wynikiem bankructwa warstwy średniej, niemogącej wytrzymać współzawodnictwa z wielkim kapitałem. Jeżeli klasę posiadającą rozdzielimy na trzy grupy: 1) pobierających więcej nad 1,000 f. st. rocznego dochodu, 2) otrzymujących 300—1,000 i 3) otrzymujących 60—300 f. st. dochodu — znajdziemy, że grupa pierwsza w r. 1862 stanowiła 0,001% ludności i pobierała 10% dochodu narodowego, w r. 1867 zaś odpowiednio 0,5% i 25%; druga z 25% ludności spadła do 10%, trzecia zaś wraz z poprzednią w 1812 zagarniała 60%, w 1867 tylko 30% dochodu narodowego. Rodbertus, który właśnie na podstawie badań Colquhouna z r. 1812 i Baxtera z r. 1868 przeprowadził powyższe obliczenia, uzmysławia stan społeczny Anglii zapomocą odpowiednich brył geometrycznych. Kraj ten niegdyś przedstawiał jeszcze piramidę, obecnie jest już głową osadzoną na wązkiej i bezustannie zwężającej się szyi. „Społeczeństwo zmierza ku krańcowościom. Wciąż wzrasta nędza u dołu, wciąż gromadzi się bogactwo, a zmniejsza ilość posiadaczy u góry. Klasy, łagodzące tę krańcowość, szybko maleją w swej liczbie.“ Podobne dążenia oglądamy we wszystkich krajach międzynarodowego obszaru wymiennego, lubo w różnym stopniu natężenia. W zupełnej czystości zagnieździły się one tylko w tych miejscowościach, które dzięki różnym, zresztą obojętnym na teraz dla nas czynnikom, znalazły się na czele nowoczesnego postępu przemysłowego. Inaczej się wszakże dzieje w innych prowincyach owego organizmu międzynarodowego. Rozwój przemysłowy jednego kraju jest bowiem zarazem źródłem zastoju w drugim, który później wystąpił na widownię walki o zyski. Widzieliśmy, jak w rozwiniętych społeczeństwach podążą szybko wywłaszczenie całych warstw i zamiana ich na najmitów. Ale jednocześnie postępujące rozszerzanie rynku dostarcza im zarobku w służbie u wywłaszczycieli. Nic podobnego temu ostatniemu nie spostrzeżemy w krajach, jak Rumunia, Węgry itd. Stanowią one jedynie wielką wieś dla wielkiego miasta — obcego kraju, którą bezlitośnie się wyzyskuje. Przeprowadzone drogi służą jedynie dla obdarcia okolicy ze skarbów naturalnych: lasów, bogactw mineralnych, oraz wywożenia plonów rolnych. W kraju wre ruch gorączko-

---

Tymczasem doktór powtarza jeszcze zalecenia; każe się obódzić, gdyby jaka zmiana zaszła, może się jeszcze pogorszyć.

Opróżnia się teraz izba, chłopi przypominają sobie, że to jutro do żniwa trzeba wstać. Powoli przy chorym pozostaje tylko rodzina i Marchleńska.

A doktór wracając, rozmyśla nad tem, jakby młynarza ratować. Trudna to sprawa. Żeby trochę młodszy, silniejszy, ale 60 lat i wygląd charłaczy...

Zresztą, co się tu łudzić: jest przekonany, że nastąpiło pęknięcie czaszki u podstawy, więc wszelki ratunek niemożliwy. Z pewnością tak jest, nawet krew uszami szła, pewno był i wylew krwi.

Nie kładzie się do łóżka, wertuje jeszcze rozmaite książki lekarskie, co ten, ów robił w podobnym przypadku.

Ile razy pies zaszczeka, leci do drzwi, pewno przysyłają po niego, młynarzowi gorzej.

W końcu idzie sam; zobaczy, co się z nim dzieje.

W chacie, niedługo po wyjściu doktora, zastosowano własny sposób leczenia: lód odrzucili, obwiązali głowę ciepłą chustką, otulili starego pierzyną, ledwo mu nos widać.

— Zapoci się, to może mu pan Bóg przemieni.

Marchleńska przy tyłu chorych była, a nie słyszała, żeby lodem okładać, kiedy „gorączki“ niema. Dotyka sama rąk, piersi, zimne zupełnie. Radzi też zagotować jak najprędzej herbaty, żeby go i w środku rozgrzało.

Zastaje więc doktór baby w ruchu.

Herbata już w kominie.

Wspólnemi siłami leją młynarzowi w gardło, ale wszystko zrzuca, źle...

Doktór starego nie opuszcza, chodzi kilka razy dziennie i radzi, co może. Widzi jednak, że wszystko napróżno. W kilka dni po katastrofie nastąpiła śmierć.

Na pogrzeb wyległa cała wieś, syn uprosił księdza na niedzielę, żeby się wszyscy mogli zgromadzić.

Doktór nie przyszedł, nie chował swego pierwszego pacyenta; cały dzień chodził jak struty; perswadował sobie, że wszystko zrobił, co był powinien i co można było.

We wsi mówią o nim z uznaniem, bo że pijawek nie umiał postawić, to nie straszne, przecież on dopiero zaczyna leczyć, jeszcze i wprawy nie ma, ale jaki to „sercowy“ człowiek, do ostatniej chwili młynarza nie odstępował, tak się nim zajął, jakby swoim najbliższym krewnym.

Felkowa także swe uznanie głośno objawia. Chorowałam — mówi — najkochańsi na oczy, tak, żem patrzeć nie mogła, to tylko mi podwracał, palcem potarł i jakby ręką odjął, nawetem lekarstwa, co mi dał, nie używała.

Nikt nie przeczy.

Na wiatraku i w chacie objęli miejsce starego syn i synowa; stara wyniosła się do córki na inną wieś.

Dziś doktór jest już znanym w całej okolicy i powszechnie cenionym.

Z chłopami się zżył, w każdej prawie chacie musi mieć chrześniaka.

Dziwi się, jak mógł z początku utożsamiać Zielona z Połomskim i Gortata z Feliksem, zdawali mu się wszyscy podobni do siebie. Dziś odnajduje w każdej z tych twarzy tyle cech charakterystycznych.

Oni „spodufalili“ się, nazywają go kochanym „panuleczkiem,“ sławią między sobą i gdzie się da. Adamka błogosławi ręce jego, „żeby ozłociały,“ wyleczył jej Kostka.

A pachciarz mruży oczy i przyciszonym głosem przysięga, że on zna różnych porządnych panów, ale takiego jak „nasz pan doktór,“ to niema drugiego, to jest czysty jadwab', czysty jadwab', cmocze ustami i trzyma rękę na piersiach.

Doktór o pierwszych próbach samoistnego leczenia wspomina nieraz z humorem, i dodaje, że jednak lekarz wiejski powinien umieć i bańki stawiać i z pijawkami się obchodzić, bo nie zawsze może wyręczyć się felczerem, albo Marchleńską.

X. X.

wy, póki go się nie złupi. Potem wszystko ustaje; chyba że warunki geograficzne i inne ułożą się na tyle korzystnie, iż kapitały krajowe, powstałe przy tym rabunku, oraz wyciśnięte z lichwy, przy pomocy aferzystów zagranicznych, poczną się skupiać i wytwarzać przemysł miejscowy. Atoli historyczne okoliczności powstania zwężają już z góry rynek i pozwalają mu wzrastać bardzo powolnie. Kropla ta fermentu, jakkolwiek na razie niewielka, działa nader rozkładająco, stosownie do praw już rozpatrywanych. W kraju zjawia się niezmierna masa ludu wydziedziczonego ze źródeł utrzymania, a nieznajdującego zarobku przy powstającym przemyśle, krom nielicznej garstki. Rzuca się ona do ziemi, jako jedynej deski ocalenia, przepłaca grunta i dzierżawy, uniemożliwiając tem samem wielką uprawę, bo żadna najracyonalniejsza nawet gospodarka nie zdoła dać zysków równych lichwiarstwu gruntowemu (np. landlordyzm irlandzki). Szerzy się parcelacya lub powstawanie drobnych dzierżaw. Na tle takiem zaczyna się rozgrywać ponura tragedya społeczna. Pod wpływem czynników, już nam znanych, te masy ludu zostają wciąż wydziedziczane przez lichwiarza i przekupnia; dzięki znowu braku jakiegoś innego zarobku, ciągle powracają do wywłaszczycieli, kupując za pieniądze, u tych ostatnich pożyczone, ziemię i oddając jako procenty prawie cały sprzęt rolny, oprócz kawałka najnędzniejszej strawy. W miastach, ogniskach przemysłu, społeczeństwo rozpada się coraz jaskrawiej na dwie krańcowo odległe klasy, na wsi tymczasem wielka własność ziemska zanika w drobnej uprawie, lecz sami chłopi zmieniają się na faktycznych niewolników u lichwiarza. Jednostki energiczne wędrują daleko do miasta i na obczyznę; pozostaje tylko bezbarwna masa wiejska, już i tak wskutek wiekowego poddaństwa przyzwyczajona, aby jej ciosano kołki na głowie. Rozumie się, iż w jeszcze gorszym stanie znajdują się inne prowincye międzynarodowe obszaru wymiennego, w których nie zdołał się usadowić chociaż drobnowidzowo przemysł nowoczesny. Do nędzy przyłącza się tu jeszcze ciemnota, gdyż i dla najskromniejszego kaganka światła braknie zasilenia.

Takie są następstwa tegoczesnego rozwoju ekonomicznego w dziedzinie podziału. Lecz niesie on z sobą i inne skutki. Widzieliśmy już, jak pod jego ciosami upada rzemiosło; tego jednak jeszcze nie dosyć, gdyż jednocześnie zamyka on wszelką możliwość jego powrotu. Stosowane w przemyśle narzędzia i wogóle żądany przez produkcyę szkielet rzeczowy są tego rodzaju, iż wymagają zrzeszenia pojedynczych wysiłków dla otrzymania jakiegoś wytwórczego rezultatu. Skład osobisty każdego zakładu przedsiębiorczego coraz bardziej przypomina armię, która w określonym czasie i według z góry ułożonego porządku dyscyplinarnego spełnia rozmaite czynności. Wytwór pracy postradał najzupełniej znamię swego twórcy. Trudno określić, w jakim atomie żelaznego pługa, albo w jakiej cząstce tkaniny zakrzepła praca pojedynczego robotnika. Zrzeszanie pracy, uniemożliwienie indywidualnego władania wytworem przez bezpośredniego wytwórcę, oraz niepodobieństwo, aby nad potężnemi narzędziami produkcyi wielu ludzi posiadało dowolne prawo własności, tak, iżby jeden mógł według widzimisię wycofać z fabryki dzisiaj jedną jakąś maszynę lub jej cząstkę, jutro drugi drugą — oto rezultaty takiego stanu rzeczy, rzucające należyte światło na żądania Proudhona i pokrewnych mu demokratów, którzy jako ostateczny ideał społeczny stawiają oddanie narzędzi pracy pojedynczemu wytwórcy, oraz przysądzenie mu wytworu. Jest to właśnie ów zdawkowy demokratyzm, rządzący się tylko wskazówkami „zdrowego rozsądku.“ Takie ideały społeczne, w zakresie przemysłu przerabiającego i zbożowo-rolnego, przy tegoczesnych dążnościach technologicznych, są mrzonką, skrytykowaną w sposób najostrzejszy, bo nie na papierze, lecz przez samo życie. Atoli skutki nowych metod wytwórczych są daleko donioślejsze. Wydajność pracy wybujała nadzwyczajnie. Burze przemysłowe, w postaci przesileń handlowo-przemysłowych, nawiedzające peryodycznie nasz świat ekonomiczny, składają najwymowniejsze świadectwo, że sposoby produkowania przerosły już obecną ustawę prawno-społeczną, podobnie jak w w. XVII porządki cechowo-pańszczyźniane okazały się zbyt ciasnemi dla pomieszczenia nowych metod wytwarzania, co ukazały się wśród rękodzielni i na powstającej fabryce. Słowem, siły wytwórcze, wyłonione przez rozwój ekonomiczny naszego wieku, wymagają dla siebie oraz niosą z sobą odmienne ukształtowanie społeczeństwa. Wobec tych żądań nowoczesnej produkcyi stoją jedynie dwie warstwy, nieodzownie stwarzane przez nią i jednako zainteresowane w jej powodzeniu: przedsiębiorcy i najmici, tymczasem gdy inne grupy społeczeństwa, pozostałe w spuściznie po dawnych warunkach wytwarzania, spoglądać mogą tylko w przeszłość i według niej kształtować swoje wzory. Jakeśmy już widzieli, w krajach przodujących rozwojowi ekonomicznemu, te ostatnie liczebnie maleją. Pole walki społecznej zcieśnia się zatem do zapasów pomiędzy wspomnianemi dwiema warstwami. Jedna z nich winna wcielić w życie ustawę prawno-społeczną, kreśloną i wymaganą przez rozwój nowoczesnej produkcyi. Naturalnie zbyteczna byłoby dowodzić, która zdoła to uczynić na szerszej, swobodniejszej i humanitarniejszej podstawie. Wobec tak wyraźnego położenia, demokratyzm w tych krajach posiada przed sobą jasno zakreślone widnokręgi. Wprawdzie nie wszyscy jego przedstawiciele mogą iść w swych żądaniach jednako, niektórzy np. ograniczają się tylko do chwili dzisiejszej z jej wymaganiami. Lecz wszyscy występują z równą ścisłością żądań, nawskróś klasowych. O „ludzie“ niema tu więcej mowy, kategorya ta została i w teoryi i w praktyce rozłożoną na odpowiednie grupy. O powstrzymywaniu rozwoju kapitalizmu, rozparcelowywaniu wielkiej własności dla wzmocnienia włościaństwa, ocalaniu stanu rzemieślniczego nie słyszymy ani słowa. Podnosi się fakty nadużyć nad temi warstwami, lecz nigdy w obozie demokratycznym, świadomym rozwoju społecznego, nie broni się ideałów sielanki wiejskiej lub rzemieślniczej.

Wprawdzie, tu i owdzie ukazują się jeszcze rzecznicy dawnego demokratyzmu, którzy umiłowali jednako wszystkie grupy „ludowe“ i w równym stopniu gotowi bronić dążeń każdej. Są to zwykle ludzie mocno wrażliwi na widok czyichś cierpień, lecz bez rozwiniętych pierwiastków myślowych, którzy wszelką nędzę przyjmują do serca bez względu czy istnieją środki jej ulżenia lub czy wynik opłaci starania. Lecz najczęściej w liczbie takich obrońców widzimy awanturników i szalbierzy politycznych, mogących dużo obiecywać, bo dbających tylko o własne wypłynięcie, lub zachowawców, którzy z zanikaniem drobnej produkcyi tracą najważniejszą placówkę. Jakżeż odmienny spostrzegamy widok w tych krajach wymiennego obszaru międzynarodowego, gdzie drgania wielkiego przemysłu wnoszą jedynie rozkład bez rzeźbienia pierwiastków nowego ustroju i stwarzania odpowiednich klas! „Kapitalizm“ ukazuje się tu w postaci wrzodów lichwiarskich i pijawek, ogałacających okolicę z bogactw naturalnych. Powstające drogi komunikacyjne mają tylko jedno zadanie — rabunek kraju. „Lud“ pogrąża się w nędzy. Wśród niego nadaremnie poszukiwalibyśmy odłamu, któryby obiecywał, iż wcześniej czy później posiędzie czynną siłę zorganizowania społeczeństwa według wzorów, wyłanianych przez życie ekonomiczne wśród prowincyj najbardziej posuniętych. I odpowiednio, zamiast rzeczników sprawy demokratycznej, pochodzących z samego ludu, mamy obrońców z pośród klas uprzywilejowanych, którzy posiadają zbyt wielką wrażliwość, aby spokojnie znosić widoki otaczającej ich nędzy. Zamiast czynnych zapasów o władzę polityczną w państwie i walki klasowej, zamiast świadomej armii ludowej wiedzącej z kim i o co walczyć i skupianej przez samo życie w ogniskach ruchu umysłowego i społecznego widzimy tutaj jedynie nawoływanie do filantropii i poleganie na „inteligencyi.“ Inteligencya to, wzrastając w liczbie i w miłości ku nędzarzom, zastąpić winna wszelką świadomość ludową i wynagrodzić brak jasno zarysowanego położenia; filantropia zaś dać ludowi, czego tenże sam nie jest w stanie wywalczyć... Naturalnie, ponieważ wzory społeczne, wystawiane przez życie w przodujących rozwojowi miejscowościach wymiennego obszaru, mającą przed oczami obrońców, ewolucya zaś miejscowa nie zawsze wyłania stosowne dążności, przeto i „duszę rasową“ swego społeczeństwa i właściwe mu postacie posiadania i produkcyi obdarza się różnymi mistycznymi pierwiastkami, które winny zastąpić brak należytych żywiołów materyalnych... Zresztą już ten jeden fakt, że każdy, ktokolwiek jest w stanie powzięcia silnych przekonań, nie zechce ich zamknąć w swej głowie lub bić się w samotności z własnemi myślami; oraz ów drugi, że do otaczającej teraźniejszości należy przemawiać jej językiem, wszystko to sprawia, że szermierz ludu, jeżeli chce, aby go zrozumiano, musi wystawić jakieś rzeczywiste cele? A zatem jakież? Dosłyszał, że gdzieś walczą przeciw kapitalizmowi. Bierze to w dosłownem znaczeniu i hejże wywiesza sztandar nie odpierania już zbyt silnych razów, lecz powściągnięcia samego rozwoju w tym kierunku. Widzi, iż z chłopa wysysa soki lichwiarz. Precz więc z lichwiarzem! jak gdyby to była postać do usunięcia przy niezmienieniu innych warunków. Dobrze jeszcze, jeżeli nie będzie poszukiwał w powłoce antropologicznej jedynego źródła zła i nie obwieści krucyaty przeciw-rasowej. Wszystkie starania obracają się nie dokoła przebudzenia świadomości klasowej, chociażby w tak nieznacznym stopniu, na jaki pozwala położenie, lecz w wyszukiwaniu teoretycznych leków lub mistycznych formułek, w krytykowaniu postępowania klas wyzyskujących przed ich obliczem lub w obronie różnych, nigdy nie stosowanych środków chwilowych. Zachodzące przytem pytanie, o ile zachwalane reformy, raz wcielone w życie, faktycznie oprą los „ludu“ na mocnej i trwałej podstawie, zwykle bywają pominięte lub załatwione ogólnikowo. Wszystkie grupy ludności w nędzy zatopiono w jednolitej masie „ludu“; jeżeli zaś jakiś oddzielny odłam posiada większe od innych znaczenie, tedy nie z powodu właściwych sobie dążności, lecz odpowiednio do liczebności głów... Naturalnie, takie chaotyczne i niewyraźne stanowisko bywa stałem jedynie w najbardziej upośledzonych miejscowościach rozpatrywanego organizmu międzynarodowego; w innych zmienia się z czasem, w miarę ukazywania się organizujących pierwiastków tegoczesnego społeczeństwa *). Jeżeli w pierwszych krytyka jest daremną, bo zrozumienie jej to, pogrążenie czynu w nicości, w tych ostatnich ma ona wielkie pole przed sobą, gdyż stracone inaczej czaty społeczne może postawić na należytym stanowisku...

K. R. Żywicki.

*) Rzecznicy z pośród inteligencyi wtedy się ulatniają, wykazując właściwą naturę swego społecznego *Weltschmerzu*. Z chwilą gdy powstający kapitalizm daje im zajęcie naukowe, artystyczne itd., zapominają o wyznaczonej sobie niegdyś roli. Niemcy dają dobre uzmysłowienie tego.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 3 marca.

Fryne Siemiradzkiego. — Różne o niej sądy. — Zapusty. — Sprawa maślana. — Rózga. — Bal katolicki.

Starożytni grecy uważali piękno ciała za szczególny dar bogów; ci, co go posiadali, ukazywali się nieraz na zebraniach obnażonymi. Słynna hetera, Fryne, która podług podania służyła Praksytelesowi za wzór Afrodyty, pewnego razu w czasie uroczystości Pozejdona, wśród tłumu na brzegu morza zrzuciła szaty i weszła do wody, stając się tym sposobem wizerunkiem bogini, urodzonej z piany morskiej.

P. Siemiradzki we swym wspaniałym obrazie, znajdującym się obecnie na wystawie w Akademii sztuk pięknych, wyraził tę chwilę, gdy niewolnice hetery czynią przygotowania do kąpieli — a sama ona za chwilę wstąpi do morza. Widzowie z obu stron — pełni podziwu i zachwytu — rzucają do stóp pięknej wieńce i kwiaty.

Publiczność zwiedzająca wystawę wielce się różni w zdaniach: jedni znajdują, że hetera jest zbyt posągową, inni, że nazbyt muskularną, że wcale nie jest piękną, są i tacy, co narzekają na greków, że za mało są zachwyceni — słowem, ile głów, tyle sprzecznych zdań i nietylko z ust mało świadomych, lecz nawet artystów... a wszystko dlatego, o ile się zdaje, że pp. Suchorowscy, Żmurki... zepsuli w nas do ostatka poczucie piękna swemi zmysłowemi nagostkami..., inaczej nie można nazwać tych wygładzonych istotek, któremi nas tak szczodrze częstują.

Wyobraźmy sobie, że dzisiaj wśród poważnego zgromadzenia wchodzi niewiasta, zrzuca okrycie i ukazuje się nagą — jakieby sprawiła wrażenie? Jeżeliby była boginka z obrazu p. Żmurki (którego wystawę też mamy)—srom i popłoch; gdyby zaś majestatyczna Fryne — patrzylibyśmy na nią, jak się patrzy na wspaniały posąg — nic więcej. Czy są techniczne usterki — nie wiem. Malarze tak różne wygłaszają zdania, że wszystkie wykluczają się wzajem. Za to obraz ma w sobie jedną dziwną własność—kto raz go widział i patrzył choć z maluczkiem pojęciem piękna — nie widział go jeszcze: musi pójść powtórnie; a kto był dwakroć, marzy pójść trzeci raz; poczem postać Fryny już go prześladuje: stoi w umyśle jak posąg surowy, poważny i piękny.

Bujna wyobraźnia jednemu z krytyków podszepnęła, że na obrazie za mało powietrza; w rzeczywistości przestrzeń nad morską zatoką aż drga ruchami eteru, a cały brzeg morza i wszystkie przedmioty iskrzą się od słonecznych promieni.

W tej chwili dowiedziałem się, że Ermitaż nabył obraz na własność za 50 tysięcy. Nie śmiem powiedzieć — zbyt drogo—chyba przeciwnie.

Oprócz *Fryny* na wystawie są jeszcze cztery małe obrazy, z nich *Pokusa św. Hieronima* najsilniejsze sprawia wrażenie; inne trzy przedstawiają urocze zakątki Grecyi.

Przejdźmy do życia potocznego.

Ostatnie dni zapust przepłynęły szumnie, tłumnie, gwarno: w teatrach codzień po dwa przedstawienia, a koncertów, balów bez liku. Na Marsowym Placu (płaszczyźnie, mającej prawie wiorstę kwadratową) w szopach kleconych z desek co godzina zmieniają się widzowie. Za to artyści bez przerwy powtarzają swe role, aż do ochrypnięcia. Na karuzelach karnawałowe dziady bawią tłumy dowcipami. Słuchaczów mają wdzięcznych, po każdym utartym, lub na prędce skleconym dowcipie rozlega się tłumny chichot i zachwyty. Ze sztucznych gór lodowych sanie pędzą ze świstem, a krasawice, urożowane mrozem, chwytają oddech, śmieją się do rozpuku. Dziatwa kupuje łakocie, a kawalerowie nadobnych Domn i Akulin podbijają serca swych bogiń słynnemi *wiaziemskimi* piernikami.

Pomimo kilkunastu tysięcy zwykłych doróżkarzy, w ostatnim tygodniu karnawału każdy włościanin ma prawo przyjechać do miasta i wynajmować swe sanie; to też masa *czuchońców*, pędząc swe kosmate koniki, napełnia ulice wrzaskiem nawoływania i szmerem szczerbatych dzwonków. Rozochoceni pasażerowie przy dźwiękach harmoniki nucą wesołe śpiewki. Niekiedy na owem tłumnem tle ukaże się słynna trójka: konie pełne dzikiej energii lekko niosą duże sanie, istną arkę Noego, w której mieści się od sześciu do ośmiu przedstawicieli plutokracyi... Może jadą do akwaryum, gdzie zbudowano w ogrodzie wspaniały pałac lodowy o dwu piętrach, z „basztami sterczącemi dumnie..." Może też zajadą na chwilkę do Michajłowskiego maneżu na wystawę rybołóstwa: tam ujrzą tysiące przyrządów i sieci używanych w rzekach, jeziorach i morzach trzech oceanów. W misternych szkółkach tuż na miejscu zobaczą, jak wytwarzają się z ikry pstrągi i jesiotry, przyczem hodowca pstrągów objaśni, że rocznie sprzedaje zarybka za dwa tysiące rubli. Od Romana (Litwina) i Sp. pierwszej parowej fabryki konserwów rybnych w Rosyi kupią kilka pudełek marynowanych węgorzy, sterletów, śledzi, i pojadą gdzieś za miasto — może do tradycyjnej Arkadyi.

Nowoje Wremia obecnie walczy z masłem margarynowem. Prezes miasta pewnego dnia przekonywał, kogo należało, że projekt zamknięcia francuskiej fabryki sztucznego masła może nie przyjdzie do skutku. *Nowoje Wremia* poważnie a stanowczo jęło dowodzić szkodliwości owej trucizny. Cały Petersburg zbudził się ze snu. Sprawa maślana, jako bohaterka chwili, zasłoniła sobą innego bohatera — redaktora konserwatywnej gazety *Graždanin* — księcia Mieszczerskiego. Ów poważny mąż przyszedł do przekonania, że ponieważ różdżką duch święty dziateczki bić radzi, więc dla orzeźwienia umysłów i uregulowania nerwów chłosta jest rzeczą zbawienną. Gazety radziły p. M. ażeby na sobie spróbował owego lekarstwa i jeżeli przez to stanie się mędrszym, dowiedzie, że jego projekt jest dobrym.

Bal katolickiego Towarzystwa dobroczynności w tym roku był szczególnie świetnym, albowiem... mało było osób. Bilety sprzedawano nie byle komu; to też zebrała się publiczność wyborowa. Znaleźli się tacy, co twierdzili, że póki do mierzenia cnót nie wynaleziono przyrządu — i pod suknią sprowadzaną z Paryża może bić serce — mówiąc najskromniej — mierne...

Czystego dochodu otrzymano około czterech tysięcy, to jest trochę więcej, niż głosil *Kraj*, lecz przeszło o dwa tysiące mniej, niż w roku zeszłym. Zato biedacy zadowoleni, że na balu danym na ich korzyść było doborowe towarzystwo — bo to więcej znaczy, niż marne parę tysięcy.

Mazur pod dyrekcyą p. Lewandowskiego wprawiał w szał napoważniejsze, bo nawet dotknięte podagrą nogi. Zresztą szanowny dyrektor wydobył z siebie siedm potów. Miejscowa orkiestra, złożona przeważnie z niemców, nieprzychylnem okiem patrzyła na przybysza. Paru szanownych artystów z nad Sprei w połowie wieczoru objawiło, że się czują zmęczeni i zrobiło *Drang nach — Schlafen* — inni zaś starali się psuć takt, co im niekiedy i udawało się.

Mamy jeszcze jednego gościa — mianowicie artystę Śliwińskiego; słuchamy jego świetnych koncertów z prawdziwym zachwytem.

N. B.

Uwaga. Z powodu tego balu nadesłano nam kilka zażaleń. Czytylnicy *Prawdy* znają nasz pogląd na wszelkie bale dobroczynne, ponieważ wszakże jest to główna arterya jałmużny publicznej i ponieważ w tym wypadku chodzi o kasę katolickiego Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu, więc dajemy miejsce dwom skargom.

„W porównaniu z latami minionemi bal tegoroczny dał bardzo niepomyślne rezultaty. Tak np. w zeszłym roku zebrano z górą 6,500 rs., w tym zaś trochę więcej niż 4,000 rs. Powodem tak wielkiej różnicy, jak sądzimy, było to, że zarząd Towarzystwa poruczył urządzenie zabawy komitetowi pań, który postanowił wydawać bilety imienne i tylko osobom znajomym. Po nabywanie ich trzeba było się udawać do owych dam, a przytem stosować się do godzin przyjęcia a następnie jeszcze zostać narażonym na odmowę, jeżeli się nie odpowiadało wszelkim przepisom szyku. Taka ostrożna sprzedaż kart miała ochronić salę od osób podejrzanej moralności. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, kto z członków komitetu wydał bilety pewnemu jegomości z dwiema paniami, które z sali wyjechały pod opieką stróżów bezpieczeństwa do cyrkułu! Czy przy sprzedaży dawnej mogło stać się jeszcze coś gorszego? Dzięki tej ostrożności zarząd Towarzystwa otrzymał przeszło 2,000 rs. mniej dochodu, a dla biednej kolonii naszej suma ta jest poprostu majątkiem. Toalety były prześliczne, a ile każda z pań w bogatej sukni zapłaciła za bilet? Słyszeliśmy tylko o znanym B. z Warszawy, który corocznie płaci najmniej 100 rs. za bilet, chociaż sam na balu nie bywa; a więcej?..

Natomiast p. Z., który wodził rej na balu, nawet nie jest członkiem Towarzystwa dobroczynności, a wiemy, że dla niego zapłacić 10 rs. rocznie z niewielką przyszłoby trudnością.

Bawmy się panie i panowie, ale pocóż ta arystokratyczna wyłączność, która tak niepomyślnie wpłynęła na materyalny rezultat; sądzę, że zabawa w podobnych razach powinna być tylko środkiem dla przysporzenia funduszów Towarzystwu, nie zaś rozrywką koteryjną. Miejmy nadzieję, że zarząd Towarzystwa dobroczynności, dbały więcej o powiększenie dochodów, na przyszłość zrobi bal dostępnym dla szerszego koła publiczności."

Bezstronny.

Inny członek Towarzystwa pisze:

„Z woli pań strojnych, przedstawicielek tutejszego miłosierdzia, sprowadzono z Warszawy Lewandowskiego, któremu zapłacono 500 rs., niestety z kasy Towarzystwa dobr. To jednak nie tłomaczy ogromnego ubytku w dochodzie, spowodowanego głównie ograniczeniem sprzedaży biletów. Przypuszczenie, że bez podobnego ograniczenia upaść może bal katolicki, nie ma racyonalnej podstawy, jeżeli będą zachowane zewnętrzne formy, bez względu na to, czy to ze sfery rzemieślniczej lub urzędniczej a nawet obywatelskiej. Zaglądać zaś do duszy każdemu człowiekowi i śledzić jego czyny w każdej dobie życia jest rzeczą wcale niemożebną; a tego rodzaju chęci i dążności nad wszelki wyraz są śmieszne."

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 9 marca.

Robotnicy w parlamencie austryackim. — „Bruder Hanns." — Jubileusz Joachima. — Sezon odczytowy. — Krytyk berliński podbijający Wiedeń la Ibsena. — Hanslick o powstaniu opery francuskiej i dziejach sceny. — Helmer o reformach w budowie teatrów. — Pani Zerkowicz i moda indywidualizująca. — Pogadanka Zygmunta Sawczyńskiego.

Obrady biegłych, powołanych do Wiednia dla osądzenia projektu izb robotniczych, dowiodły snadnie, jak niesprawiedliwem było twierdzenie, iż w parlamencie austryackim nie zasiadał dotyczas ani jeden przedstawiciel stanu, składającego się z tylu milionów obywateli. Organa wszystkich stronnictw i barw pełne były pochwał dla inteligencyi, politycznego wykształcenia, świadomości celów i taktu wezwanych robotników. Jeszcze przed rozpo-

częściem obrad dowiedli delegaci, iż są ludźmi samodzielnie myślącymi i liberalnymi. Ks. Eichhorn, głoszący na zewnątrz socyalizm chrześciański, utrzymujący jednak związki z konserwatystami i antisemitami, ks. Lichtensteinem, hr. Belcredim i Lügerem, chciał ich zjednać dla swego stronnictwa. Urządził tedy dla nich ucztę, na której starano się robotników przekonywać ustnie i zapomocą broszur rozdawanych pomiędzy nich. Oni atoli, wyjąwszy dwóch zwolenników programu chrześciańsko-socyalistycznego, którzy nie poznali się na farbowanych lisach, stanowczo odsunęli od siebie agitatorów. Plan hr. Eichhorna, ażeby delegacyi robotniczej użyć do ataku na liberalne stronnictwo w parlamencie, rozbił się całkowicie. Kiedy bowiem podczas drugiego posiedzenia „ankiety" jeden ze zwolenników jego wystąpił z wypracowaniem, przepisanem dosłownie z Katechizmu robotniczego ks. Eichhorna, biegli napiętnowali postanowienie to jako śmieszne i niegodne obradującego ciała, a mimo obecności ks. Lichtensteina i hr. Belcrediego, którzy powagą swą popierać zamierzali wystąpienie robotnika-feodała, zastrzegli się uroczyście przeciw ideom zawartym w owem piśmie. Obrady toczyły się naprzód około czynnego prawa wyboru deputowanych do izb robotniczych. Przeciwko pierwotnemu projektowi, aby prawo to służyło każdemu członkowi kasy chorych, występowała większość biegłych, głównie zaś deputowani galicyjscy. Najdrażliwszy przedmiot stanowiła kompetencya przyszłych izb robotniczych. Tej sposobności użyli robotnicy dla wyrażenia swych życzeń społecznych. Żalili się na ograniczenie prawa stowarzyszeń i zgromadzeń, oraz na niedostateczne poparcie, udzielane prośbom ich przez stronnictwa parlamentu. Zwłaszcza robotnicy galicyjscy, a na ich czele dzielny zecer Mańkowski, bez ogródek wyrażali opinię swą o Kole polskiem, które żartobliwie nazywali „das polnische Rad." Wskazując na znaczny brak szkół i innych ognisk oświaty ludowej w Galicyi, protestowali przeciwko projektowanej szkole wyznaniowej. Pocieszającym to było objawem, że z polakami łączyli się robotnicy niemieccy, włoscy i czescy w zwalczaniu zamysłów stronnictwa konserwatywnego. Z praktycznych wyników narady to głównie zasługuje na uwagę, że rozszerzono zakres działania przyszłych izb robotniczych, przyznając im wpływ na oznaczenie norm czasu pracy oraz płacy. Bytność tego grona robotników ukształconych, wyrobionych politycznie i świadomych dążeń swego stronnictwa, w salach parlamentu austryackiego, wielkie miała znaczenie nietylko dla ich stanu, ale dla rządu i dla przedstawicieli innych warstw społecznych. Przekonano się, że ci, których gnębiono jako socyalistów, bynajmniej nie są anarchistami i rewolucyonistami, lecz że z ochotą przyjęli daną im sposobność sprowadzenia reform na drogę pracy parlamentarnej i że występując po raz pierwszy na tej niwie, okazali więcej dojrzałości politycznej, aniżeli wielu przedstawicieli stanu trzeciego.

W Burgtheatrze po długiej przerwie wystawiono sztukę oryginalną, niegraną dotychczas na innych scenach: była to czteroaktowa komedya E. Karlweissa p. t. „Brüder Hanns." Jan i Paweł Forster, bracia i koledzy szkolni, poświęcili się naukom przyrodniczym; właśnie wrócili z podróży do Indyj, podjętej w celach naukowych i pojawiają się w „świecie, w którym się nudzą." Jan, starszy, poważniejszy, ale ociężalszy, skromnie usuwa się na plan drugi, ustępując miejsca bratu, piękniejszemu i zręczniejszemu. Brata tego kocha namiętnie niemal i poświęca się dlań bezustannie. Atoli w Pawle poznaje widz człowieka samolubnego, który brata wyzyskuje, choć umysłowo jest od niego niższym; okoliczność ta osłabia nieco sympatyę dla Jana, którego postępowanie wydaje się wprost niemądrem. Uczucie to wzrasta, kiedy widzimy, że Jan, kochając Martę Kolberg, oddać ją chce Pawłowi, dla którego ona nie czuje dostatecznej sympatyi. Marta, dziewczyna myśląca i energiczna, zmusza go do wyznania miłości, a następnie, aczkolwiek już zaręczona z Pawłem, podejmuje się pozyskać ojca dla zmiany pierwotnego planu. Jan napisał był rozprawę naukową, którą Paweł w swojem imieniu podać miał do senatu akademickiego dla uzyskania katedry; atoli Marta bez wiedzy Jana rozprawę tę podaje jako od niego pochodzącą i Jan zostaje mianowany profesorem. Wówczas ona zwierza się ojcu, który przyzwala na zerwanie stosunku z Pawłem; ten zaś zwraca się z wyrzutami do brata. Jest to scena wysoce dramatyczna i rehabilitująca Jana, w którym poznajemy naturę prawdziwie męzką. Sztuka kończy się pojednaniem braci; Jan poślubia Martę, Paweł zaś jedzie do Ameryki. Komedya Karlweissa, odegrana wybornie przez pierwszych artystów Burgtheatru, miała powodzenie w Wiedniu; niezawodnie przejdzie więc na inne sceny.

Ze świata muzycznego zasługują na wzmiankę koncerta Joachima, który święcił w Wiedniu pięćdziesięcioletni jubileusz swych występów. Osiemnastoletni wówczas chłopiec wystąpił był w Peszcie z koncertem niejakiego Pechaczeka; kompozytor ten dawno jest zapomniany, podczas gdy Joachim nieśmiertelnej doczekał się sławy. W Wiedniu odebrał był początki muzykalnego swego wykształcenia, a następnie w Lipsku i w Londynie zdobył sławę skrzypka i kompozytora. Czczono go owacyami, zwłaszcza po odegraniu własnego utworu, pięknego koncertu wiedeńskiego.

W Niemczech święcono jubileusz Joachima, przeznaczając kwotę 100,000 marek na cele dobroczynne; cesarz obdarzył go wielkim medalem złotym.

Sezon koncertowy jest zarazem sezonem odczytowym. Wybitniejsi prelegenci miewają sale zapełnione szczelnie. Dr. Paweł Schlenter z Berlina przybył tu dla zdobycia publiczności i sceny wiedeńskiej dla utworów Henryka Ibsena. Jest on obecnie obok Frenzla najwybitniejszym krytykiem teatralnym w Berlinie; Ibsen znalazł w nim nietylko recenzenta przychylnego, ale apostoła. Schlenter czytał w towarzystwie „Literaturfreunde," ogniskującem wraz z „Klubem naukowym" literackie życie Wiednia. Zaraz na wstępie zaznaczył, iż nie przybył w zamiarach pokojowych, ale jako szermierz. Chciałby utorować drogę Ibsenowi do Burgtheatru, który dotychczas wystąpił tylko z „Wyprawą na północ." Zapewne długie stoczać wypadnie walki, aż Wiedeń, miasto wesołe, lubiące i sztukę wesołą, zaprzyjaźni się z Ibsenem, który sam o sobie powiedział: jeśli mi się uda coś wielkiego, będzie zawsze posępnem. Wskazał jednak prelegent na różnice zachodzące między pesymizmem Schopenhauera a „pesymizmem oburzenia" Ibsena. Zajmującym był urywek rozmowy z nim, przytoczony przez Schlentera: Kiedym otrzymał dar cierpienia, zostałem poetą. — Kto ci go dał? Ta, którą kochałem. — Umarła? — Nie; opuściła mnie. — Prelegent zapoznał publiczność z treścią wszystkich utworów Ibsena, wskazując na pokrewieństwo idei przewodniej dramatów jego współczesnych. Wyraziwszy przekonanie, że przyszłe stulecie uzna znaczenie Ibsena, zakończył wezwaniem, by wiedeński Burgtheater wystawił cykl ośmiu utworów tego pisarza. Wezwanie to zwracało się do przedstawicieli sceny tej, Sonnenthala, Gabillona i Bergera, którzy zajęli byli miejsca w pobliżu prelegenta. Niestety trudno przypuścić, ażeby imperatorowie burgu dziś już ugięli kolana przed Ibsenem, wołając „Vicisti Galilaee!" jak cesarz Julian w jego utworze.

Nader zajmującym był odczyt profesora Konserwatoryum wiedeńskiego, dr. Edwarda Hanslicka, który jest najwybitniejszym krytykiem muzycznym w Wiedniu. Hanslick mówił o powstaniu opery francuskiej, ilustrując wykład swój odegraniem charakterystycznych ustępów z kompozycyj, nieznanych dzisiejszej publiczności. I tak usłyszano pierwszy menuet, skomponowany we Francyi; autorem był Jan Jakób Lully, a pierwszym, który go tańczył, był król Ludwik XIV, bawiący wówczas w Wersalu w towarzystwie jednej ze swych kochanek. Ciekawym był opis ograniczeń zastosowanych w owych czasach na polu muzyki; współzawodnictwo było niemal usunięte, a Lully przez sto lat panował na wszystkich scenach francuskich. W zajmujący sposób scharakteryzował Hanslick sztywny styl oper ówczesnych, prolog i balet ich, oraz urządzenia sceniczne. Niewygodnie musiało wówczas być śpiewakom; istniał bowiem zwyczaj, że arystokracya, bankierzy i modnisie krzesła swe wstawiać kazali na scenę, którą zwężano tak, iż czasem jeden tylko śpiewak mógł występować. Hanslick przedstawiał rozwój opery francuskiej aż do czasu, kiedy tradycya francuska ustąpić musiała przed wpływem muzyki włoskiej. Wpływowi temu dopomógł do zwycięstwa Rousseau, ogłaszając słynny list swój muzyczny, oraz wystawiając melodramat „Wieszcz wiejski." Rousseau'a napastowano za to w pamfletach, skutkiem czego uciekł do Genewy; atoli dla połączenia się stylu francuskiego z włoskim droga była już utorowaną, a z połączenia tego powstała opera komiczna, będąca najlepszym wytworem francuzów w muzyce. Szkicował też prelegent historyę teatru wogóle, zwracając zwłaszcza uwagę na urządzenia techniczne i na budowę gmachów. Dalszym niejako ciągiem wywodów Hanslicka był odczyt architekty Helmera, który wraz z Fellnerem wybudował dziesięć scen europejskich. W wykładzie swym przedstawił Helmer reformy, które zaszły w urządzeniu teatrów, zwłaszcza po pożarze, który pochłonął *Ringtheater*. Ilustrował odczyt swój planami teatru odeskiego i nowego wiedeńskiego, który nosić będzie miano „Deutsches Volkstheater." Zasadą wszelkich reform jest zwrócenie uwagi na urządzenia stałe, na administracyę i inspekcyę teatralną; przekonano się bowiem, że pomoc ludzka podczas katastrofy jest prawie bezsilną. Urządzenie sceny dawniej spoczywało w rękach praktyków teatralnych, dziś jest ono rzeczą inżenierów. Dawniejsze sceny były istnym lasem belek, podpór, przystawek i drabin; dziś wszystkie części, wyjąwszy podium, buduje się z żelaza, a cały skomplikowany mechanizm poruszanym bywa z miejsca centralnego zapomocą systemu dźwigni. Ważną też jest zmianą w budowie teatrów, że wszystkie schody, kurytarze, przedsionki i komunikacye na scenie samej oświecone są wprost przez okna a zatem światłem dziennem, tak iż publiczność w razie popłochu czuje łączność ze światem zewnętrznym i bliskość pomocy ludzkiej. Schody i wyjścia są znacznie liczniejsze, aniżeli dawniej, a tak rozmieszczone, że niebezpieczeństwo śmierci przez zduszenie jest usunięte. Dym zaś uchodzić może przez okna i liczne klapy wentylacyjne, które umieszczone są we wszystkich częściach gmachu.

Przed liczną i dystyngowaną publicznością odbywały się wykłady pani Sydonii Zerkowicz, artystki-krawczyni, traktującej rzecz swą teoretycznie i umiejętnie, nietylko z technicznego i estetycznego punktu widzenia. Ubiór, który w oczach wielu ludzi poważnych jest rzeczą zupełnie błahą, estetykom współczesnym wiele sprawia kłopotów. Odkąd Lemcke wyrzekł był, że ludzie nowocześni ubierają się w zeszyte worki, niejeden powstał pomysł zreformowania stroju francuskiego. Wszystkie atoli projekty, które odbiegały od zasadniczych cech mody francuskiej, rozbijały się dotychczas. Pani Zerkowicz, zajmując się

specyalnie tualetą kobiecą, przez szereg lat przebywała na różnych dworach europejskich, propagując modę wiedeńską a zwalczając francuską. Wydała hasło mody indywidualizującej; zaleca ścisłe zastosowywanie tualet do postaci, charakteru twarzy i cery osobników. W propagandzie dopomaga jej nowe pismo wiedeńskie *Wiener Mode*, które założono ogromnym kapitałem, zwerbowawszy najlepszych rysowników i przykrajaczy.

Na ostatku donieść winniśmy o pogadance, mianej onegdaj przez Zygmunta Sawczyńskiego, posła do Rady państwa, w „Bibliotece polskiej." Jest to jeden z najwytrawniejszych pedagogów galicyjskich. W pogadance swej wykazał, jak mało szkoła uczynić może dla ogólnego wykształcenia i wychowania dziatwy mimo najusilniejszych starań nauczycieli; główne zadanie pedagogiczne ciąży na rodzicach, a zwłaszcza na matce. Sędziwy pedagog udzielił wskazówek, jak wychowanie domowe prowadzić należy, by cel zamierzony osiągnąć istotnie. Znakomity mówca płynną pogadankę swą okraszał licznemi cytatami z poetów polskich.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

AUTOSUGGESTYA.

Sprawa hypnotyzmu, która przez czas dłuższy, trwożąc umysły lękliwe, spoczywała w rękach szarlatanów i cudotwórców, nim ją nauka ujęła w ramy ścisłej metody badania, dziś znów zaczyna budzić obawy; przyczyna ich jednak jest zupełnie różna, a nie tkwi bynajmniej w tajemniczości niezgłębionej samego zjawiska, lecz w nadużyciach, jakie ono sprowadzić może w życiu praktycznem. Osoba zahypnotyzowana a więc w zupełności pozbawiona swej woli, podlega nieograniczonemu wpływowi hypnotyzera, który wszystko z nią uczynić może, wmówić w nią rzeczy nieprawdopodobne, uprawiedliwić przed nią ohydę sromotną lub też nakłonić do wszelakich przestępstw. A wrażliwa fantazya francuzów, podsycana tego rodzaju majakami, poroniła już kilka utworów powieściowych tej osnowy, gdzie mord, kradzież itp. w chwili nieprzytomności wykonane skazywały niewinną ofiarę na pręgierz opinii publicznej lub na jej czole ryły piętno krwawej zbrodni. To, co bujna wyobraźnia dostrzegła przez pryzmat swych widziadeł i wykarmiła u swojego łona — nic jest bynajmniej pozbawione pewnej realnej podstawy. Medycyna zaś sądowa twardy ma orzech do zgryzienia w tym wypadku, kiedy popełniona zbrodnia posiada cechy, mogące usunąć myśl, iż osoba oskarżona działała nie z własnej pobudki, lecz wskutek czyjejś suggestyi (poddania myślowego). Daje to, rzecz jasna, szerokie pole do dziwacznych przypuszczeń i zupełnie dowolnych komentarzów. Nie pozostaje w takim razie nic innego, jak ponownie uśpić oskarżonego i kazać mu, aby przypomniał sobie wszystkie okoliczności, towarzyszące dokonanemu przestępstwu. Lecz to nie zawsze prowadzi do celu, gdyż np. osoba, poddająca myśl kradzieży, jednocześnie może nakazać swemu medium zupełną niepamięć warunków, towarzyszących przestępstwu. Wtedy przy powtórnem uśpieniu badany osobnik nie jest w stanie ich sobie przypomnieć.

W ostatnich jednak czasach na jednem z posiedzeń paryskiego Towarzystwa psychologii fizyologicznej („Societé de psychologie physiologique) dr. Burot*) przedstawił sposób rozcięcia tego węzła. Zasadę jego stanowi zjawisko t. zw. auto-suggestyi, a pojęcie o niem da następujące doświadczenie.

Niejaki Auch... robotnik cierpiał na silną newralgię, która długo się wlokła, nie ustępując przed żadnym środkiem lekarskim; uśpienie go, zapomocą hypnotyzmu, przerywało na czas pewien dotkliwe cierpienia. W tym celu dr. Burot przykłada prawą rękę do czoła pacyenta i poddaje mu myśl snu. Newralgia natychmiast ustępuje. Mimo to od czasu do czasu bóle wracały a chory przyzwyczajony do niezmiernych ulg, jakie mu sprawiał sen hypnotyczny, z wielką niecierpliwością oczekiwał doktora. Chcąc temu zapobiedz wpadłem na myśl— mówi autor — że należy go nauczyć sztuki usypiania samego siebie. Powiedziałem mu tedy: gdy cierpienia powrócą, dla usunięcia ich, uśpisz się sam; przyłożysz rękę do czoła z chęcią zaśnięcia; gdy to nastąpi, ręka twa zsunie się z czoła, i opadnie wzdłuż ciała; będziesz spał tak długo, jak uprzednio postanowisz sobie; to ci niezawodną sprawi ulgę. Rzeczywiście, udało się choremu sen sprowadzić i dzięki temu może sam usuwać przykrą dolegliwość.

Tego rodzaju auto-suggestyę (samopoddanie myślowe) postanowił autor zastosować i w praktyce sądowo-lekarskiej. Rezultaty okazały się nadspodziewanie szczęśliwe.

Ten sam Auch... został uśpiony, poczem poddano mu myśl dopuszczenia się kradzieży, co też należycie wykonał. Ponieważ nakazano mu nic nie pamiętać, Auch... po przebudzeniu się literalnie nic nie był w stanie przypomnieć sobie z tego, co zaszło; a nawet powtórne uśpienie go dla wydarcia zeń tajemnicy nie zdołało wydobyć żadnych wyjaśnień. Wtedy dr. Burot rzekł do niego: uśpij sam siebie, aby przypomnieć sobie wszystkie szczegóły kradzieży, o którą cię posądzają. Auch... usypia się, przykładając rękę do czoła; po kilku chwilach ręka opada; on śpi głęboko; sen trwa dwie minuty stosownie do postanowienia; następuje przebudzenie; chory opowiada: „Pan, który oświadczył, iż się nazywa Durand, kazał mi wziąć ten zegarek z biurka i włożyć go do kieszeni; prócz tego zapewniał mię, że nikt tego widzieć nie będzie, a potem zabronił surowo opowiadać o tem, co uczyniłem." Auch... daje dokładny opis p. Duranda i odtwarza w całości scenę w tej formie, w jakiej się ona rzeczywiście odbyła, nie pomijając żadnego szczegółu. Wśród pewnej liczby osób poznaje on tego, kto mu wydał rozkaz i bez najmniejszego wahania się, owszem z wielką pewnością twierdzi, że wszystko, co mówi, jest prawdą niezbitą. Wie, iż zabroniono mu opowiadać, lecz wbrew temu mówi, gdyż żywo sobie wszystko przypomina.

Podobne doświadczenia czynione były na wielu innych osobach w obecności licznych biegłych świadków, przyczem przedsiębrano wszelkie środki ostrożności dla uniknięcia błędów możliwych i niedokładności w obserwacyi. Rezultaty były zawsze identyczne.

Jako wniosek z powyższego daje się wyprowadzić zasada, że auto-suggestya umożliwia osobnikowi przypomnienie sobie wszelkich warunków przestępstwa wbrew zakazowi, jaki mu w celu przeciwnym poddany został. Obudza ona niejako wspomnienie zatarte, i, nadając im pewną siłę rzutu, prze je do świadomości i tą drogą zniewala do ustnego wynurzenia się przed pytającym.

Jak więc widzimy, hypnotyzm sam z siebie wykuwa puklerz obronny przeciw nadużyciom, jakieby się zeń wyłonić mogły. Uspokójcie więc panowie Belot'y, Thieurry'owie itp. stargane wasze nerwy, gdyż nie potrzebujecie już ronić łez krokodylich nad niedolą ofiar niewinnych, chyba iż te łzy spływają do waszej kiesy pod postacią monety kurs bieżący w kraju mającej! W takim wypadku nie łatwo wam przyjdzie osuszyć spłakane oko, a skłócony z psychologią zmysł obserwacyjny pogodzić z życiem rzeczywistem i jego warunkami.

A. Lande.

*) *Revue philosophique*, nr. 1, 1889.

WYNALAZKI.

Zastosowanie łuku Volty do wielkiego przemysłu. (*Elektrohefest*).

Niedawno puszczono w ruch warsztat *elektrohefestu* w głównych warsztatach drogi żelaznej Orłowsko-Witebskiej w Rosławiu*), dokąd udałem się, żeby ten nowy proces techniczny poznać w naturze.

Wiązkę zebranych spostrzeżeń i uwag pospieszam zakomunikować czytelnikom *Prawdy*, w tej myśli, że nietylko dla przemysłowca, lub technika, lecz nawet dla każdego wykształconego czytelnika zarys praktycznej wartości tego nader głośnego wynalazku może być zajmujący.

Wiadomo, że wynalazek ów polega na zastosowaniu łuku Volty do topienia i spajania przez topienie wszelkich metalów. Dla wielkiego przemysłu główne znaczenie ma proces topienia i spajania żelaza w trzech jego postaciach (żelaza kowalnego, stali i surowcu) a także miedzi.

Ustrój warsztatu składa się z następujących części główniejszych. Maszyny parowej stałej, jako motoru; maszyny dynamo-elektrycznej, wprawianej w ruch obrotowy (do 30 obrotów na sekundę) przez pierwszą; przewodników drucianych, plecionych z drutu miedzianego w kilkanaście drutów w gumowej koszulce; kilkudziesięciu akumulatorów elektryczności, łączonych w baterye i, w miarę połączenia, dających większe lub mniejsze natężenie, stosownie do potrzeby; wreszcie z *kowadła* w postaci szerokiej, surowcowej płyty, do której przymocowany jest jeden koniec przewodnika i— *rękojeści*; w niej tkwi drugi koniec przewodnika, a jednocześnie też gruby ołówek z prasowanego koksu. W miarę przybliżania rękojeści do kowadła ołówek stanowi jeden z biegunów, a kowadło drugi. Rękojeść posiada małą tarczę, zasłaniającą rękę robotnika od wpływu światła łuku. W prawej trzyma on rękojeść i operuje nią, a w lewej—rodzaj ekranu, mianowicie szkła zielonego w ramce z rączką, którem przesłania od łuku oczy, pomimo że są zaopatrzone w ciemne okulary.

Spajanie **) żelaza odbywa się w ten sposób, że w miejscu, gdzie potrzeba dodać nowy kawałek, lub połączyć dwa dane, zapomocą wstawienia warstwy spajającej, kładą się, raz po raz, porcye żelaza a nie większe nad półfuntowe, do jednego funta, a każda składa się z kawałków mniejszych, niż cukier niegrubo rąbany. Robotnik, otoczywszy miejsce operowane klockami węgla, żeby żelazo nie spływało, sypie na to miejsce taką porcyę i rękojeść przybliża do kowadła. W mgnieniu oka powstaje łuk i żelazo niepostrzeżenie szybko przybiera postać krwawej masy płynnej, jak woda, który zapomocą ruchów rękojeścią kieruje poniekąd wedle woli i natychmiast rękojeść odejmuje. Również w mgnieniu oka płynna masa twardnieje i zostawia powierzchnię taką, jak syrop cukrowy, którą natychmiast robotnik wygładza uderzeniem młotka i okruchy młotkiem zgrzebuje. Taką czynność powtarza dopóty, dopóki nie zapełni całej żądanej szpary, lub nie uzupełni części brakującej.

Można wnosić z tego, jak powolnie robota posuwa się naprzód.

Jeżeli szpara jest tak wązka, jak te ledwo dostrzegalne pęknięcia, które najczęściej bywa-

*) Miasteczko powiatowe gub. smoleńskiej na połowie drogi od Witebska do Orła. Przed pokojem andruszowskim Rosław leżał nad samą granicą Rzeczypospolitej. W epoce dróg bitych stanowił stacyę o 150 koni na trakcie handlowym z Moskwy do Warszawy, zwanym tu „warszawskim."

**) W technice spajanie żelaza rozpalonego do białości nosi nazwę szwejsowania.

ją w kotłach parowych, to zapomocą tego łuku operator musi przetopić sobie tę szparę do szerokości przynajmniej palca, żeby wyżej opisanym procesem zapełnić ją należycie. Inaczej szpary pierwotnej nie usunie.

Lecz zapełnienie szpary nie gwarantuje trwałości uszkodzonego miejsca, ponieważ doświadczenie już przekonało, że uleczona przestrzeń jest zupełnie trwałą, lecz *sąsiednie zdrowe części ulegają zmianom układu cząstkowego metalu* i następuje często pęknięcie obok poprzedniego. Takie próby widziałem w różnych miejscach np. koła wagonowego. Działanie więc łuku jest w gruncie rzeczy niszczące, bo tylko pozornie szkodę usuwa.

Tam, gdzie potrzeba tylko przetopić szparę, lub tym sposobem rozłączyć części żelazne, a zwłaszcza w wodzie, ten proces jest nieoceniony. Więc zastosowanie jego do wydobywania zatopionych okrętów lub mostów i rozbierania ich pod wodą — niczem nie da się zastąpić.

Natomiast dziś już jest bardzo widocznem, że reparowanie zapomocą *elektrohefestu* żelaznych części takich, jak: koła, obręcze, ramy, resory, belki itd., nie mówiąc już o osiach wagonów i lokomotyw, bardzo jest wątpliwe, a to głównie dlatego, że obok zmian cząsteczkowych, zachodzących wskutek działania łuku, części te są same wystawione na ciągłe wstrząśnienia w biegu. Do całego więc kolejowego taboru ruchowego słabe tylko może mieć zastosowanie.

Dla szyn kolejowych niema wcale widoków.

Daleko więcej szans posiada zastowanie do reparacyi kotłów parowych, bo one dają się z łatwością wypróbować, zwłaszcza nieruchome.

Również z powodzeniem dadzą się prawdopodobnie naprawiać uszkodzenia pancerzy okrętowych.

Przy mechanizmach warsztatowych, w fabrykach wszelkiego rodzaju, zastosowanie sprowadza się również do części niewytrzymujących natężenia i oporu, w ruchu niebędących oraz niewstrząsanych.

W artyleryi do najkosztowniejszych rzeczy, jak dział wielkiego kalibru, zastosowania mieć nie może.

Wogóle, wszędzie, gdzie metal nie służy do osłony, lecz gdzie gra czynną rolę, a zwłaszcza nie łatwo może być wypróbowany, ten wynalazek zastosowania mieć prawdopodobnie nie będzie; pomimo że pod względem idei stanowi próbę genialną.

Tyle co do wartości technicznej.

Co do kosztów, naprzód zaznaczyć wypada, że robotnik nietylko dostaje od blasku bólu oczu i bólu głowy, pomimo starannego zasłaniania wzroku, lecz nadto skóra mu się łuszczy, co dowodzi, jak olbrzymie jest działanie światła przy zupełnym prawie braku działania ciepła.

Koszta urządzenia tego warsztatu na małą skalę dla potrzeb kolei 500 wiorst długości wyniosły w roku przeszłym, oprócz maszyny parowej stałej, która i do innych celów może być użyta — około 12 tysięcy rubli, nie licząc patentu na wynalazek, za używanie którego kolej płaci również podług kontraktu $3\frac{1}{2}$ tysiąca rubli. Oprócz tego, koszt maszynisty, majstra i robotników, specyalnie *elektrohefestowi* oddanych, wynosi rocznie około $2\frac{1}{2}$ tysiąca rubli. Do tych kosztów bieżących dodać należy opał dla wprawiania w ruch maszyny parowej, utrzymanie akumulatorów oraz wszelkie naprawy. Żeby więc operacya opłaciła się, potrzeba pokryć kapitał nakładu jednorazowego, tj. kilkanaście tysięcy rubli i corocznie po 6 tysięcy z górą wydatków na eksploatacyę.

Odważę się twierdzić, że koszt podobny nietylko w zakresie własnych potrzeb kolei, lecz nawet jako publiczne przedsiębiorstwo opłacić się w obecnym stanie nie może i dlatego prawdy o zaletach i wadach wynalazku od osób obsługujących taki warsztat dowiedzieć się bardzo trudno, a wierzyć temu, co się pisze w gazetach, nie można. Prawdę powie prosty robotnik i umiejętna przenikliwość chcącego sobie wyrobić pewny pogląd.

Pomiędzy teoryą wynalazku, a praktyką pod względem technicznym i ekonomicznym, istnieje tedy jeszcze przepaść, a zastosowanie w takich warsztatach kolejowych, jak w Rosławiu, objaśnia się tylko hojnością na rachunek skarbowej poręki i stosunkiem doraźnym przy zielonym stoliku.

A. Pawłowski.

Witebsk.

LITERATURA I SZTUKA.

MALARSTWO.

I.

Fortuna jest na nas arcyłaskawą.

W ostatnich kilku dziesiątkach lat nasypała nam taką obfitość całych, pół i ćwierć mistrzów dłuta, pędzla i fortepianu, iż mogą oni zaspokoić nietylko tak skromną, jak nasza, w estetyczne pragnienia gromadkę, ale sto razy większy naród z gargantuicznemi w tym kierunku wymaganiami. Niechaj Jowisz przebaczy jej tę łaskę, Clio bowiem, jak wiadomo, bardzo wybredna, zajmująca się pisaniem historyi, skarze za to swą koleżankę w Olimpie na wieczne potępienie. Sztuka u nas dzięki temu nadmiarowi producentów, pomimo to, iż zadaniem jej jest, było i będzie uprzyjemniać życie, posiada tyle stron szpetnych, iż prawdziwie często z pięknej, jaką być powinna, staje się brzydką.

Idzie ona, co prawda, a raczej jest prowadzona odmiennymi szlakami, aniżeli gdzieindziej; kapłani jej, czy wyznawcy, wyrobili sobie odmienne zupełnie zapatrywanie tak na swojo stanowisko względem niej, jak i względem społeczeństwa. Ten artysta, który gdzieindziej stwarza jaśniejsze drogi, nowe prądy, u nas, po kilku zaledwie próbach swojego talentu, staje się niezadowolonym, zagorzkniałym, zezującym na społeczeństwo, które nie umie jak należy ocenić geniuszu i co za tem idzie — odpowiednio go opłacić.

Krytyka wobec takiego usposobienia artystów jest zawsze niesprawiedliwą, niekompetentną i jeśli do czego potrzeba prawdziwej odwagi cywilnej, to niezawodnie do pisania sprawozdań z dziedziny sztuki.

Ponieważ, wedle mojego zdania, piękność obrazu i ocenienie jej zależne są tylko od indywidualnego usposobienia, uorganizowania, siatkówki w oku i wymagań artystycznych krytyka, przeto za słuszną rzecz uznaję, obejmując dział ten w *Prawdzie*, objaśnić jej czytelników, jak widzi moja siatkówka i jakie są moje upodobania.

Przedewszystkiem nie widzę tak zwanej szkoły polskiej w malarstwie, gdyż dostrzegam przed Matejką — Pawła Weroneza, przed Siemiradzkim — Almę Tademę, przed Brandtem — Adama a w jednym i w drugim i w trzecim widzę specyalny kierunek, niewypływający jednak samodzielnie z krwi i usposobienia narodowego, tylko zmianę treści obrazów i mniej lub więcej doskonałe naśladownictwo poprzedników tych mistrzów. Sławiona też tak bardzo nasza szkoła nie tworzy przewrotu w malarstwie, jak nie stworzył styl wiślano-baltycki przewrotu w architekturze.

Co do usposobienia, to przyznaję się otwarcie, iż mając zaszczyt słuchać Carierowych wykładów i zwiedziwszy większą część galeryi europejskich, nabrałem wstrętu do wszelkiej trywialności w pomysłach; prawda w dziele sztuki jest dla mnie koniecznym jego warunkiem, ale z drugiej strony nie mogłem nigdy w sobie znaleźć dostatecznych racyi, któreby mi usprawiedliwiły artystę, wybierającego *prawdziwe* epizody z błota lub śmietnika. Jeżeli więc ta *prawda* jest warunkiem danego dzieła, to nie idzie zupełnie zatem, aby artysta wybierał ją szpetną, wówczas gdy pięknej i w naturze i w życiu nie brak. Naturalnie niepodobną rzeczą jest nikomu narzucić swoich upodobań; krytyk, sądzący obraz czy rzeźbę, czy też dzieło muzyczne, musi liczyć się z zamiarami wykonawcy i wydawać swój sąd odpowiednio do tego, jak artysta swój zamiar urzeczywistnił. Estetyczny jego kierunek jednak obojętnym nie może być tam, gdzie idzie o piękno.

Nie rozpłomieniam się również i dla tych wszystkich dzieł sztuki, które próżność narodowa postawiła na szczycie i nakazała ogółowi przed niemi bić pokłony.

* * *

Warszawskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, jak głosi stugębna reklama, od niejakiego czasu ożywiło się bardzo. Z całą przyjemnością oddajemy mu tę sprawiedliwość, przyjmując w rachubę dosyć częste odświeżanie jego ścian, sprowadzanie dzieł wartościowych obcych i corocznie ogłaszane konkursy.

W tym roku p. Szymanowski otrzymał pierwszą nagrodę za obraz wielkich rozmiarów, przedstawiający kłótnię huculów w karczmie. Jeżeli możemy patrzeć na pojedynki wyfrakowanych salonawców, czemużbyśmy nie mogli patrzeć na objawy gwałtownych namiętności natury chłopskiej? Nie czynię więc zarzutu p. Szymanowskiemu z treści, tem bardziej, iż w całym układzie obrazu i w uplastycznieniu zamiaru artysty tętni życie, werwa i prawda, zwłaszcza gdzie mamy sposobność postacie jego obrazu oglądać z frontu. Front ten szczególnie się udał, chociaż artysta wysilił swe wielkie zdolności na uwydatnienie najmniej estetycznej, odwrotnej strony oryginału jednego z kłótliwych huculów, sadowiąc go do widoku tyłem i wiele, ale to bardzo wiele czasu poświęcił na wystudyowanie materyału, z którego odtworzona jest ta strona obrazu. Ze sposobu malowania widz odrazu odczuwa, do jakiej szkoły należy p. Szymanowski; obraz jego jest nawskróś realistyczny, dlaczego jednak artysta, jeśli jest zwolennikiem prawdy w sztuce, prawdy grubej, ma koniecznie sięgać tak nizko? Po za tem obraz p. Szymanowskiego jest pięknym. Każda twarz z namalowanych figur przemawia do widza swego właściwym temperamentem oraz namiętnością; widać z nich, iż to nie manekiny, nie modele pozujące do obrazu, ale ludzie z krwią kipiącą, którzy lada chwila wezmą się za bary, bo kłótnia, jaką z sobą staczają, nie jest żartem, a powód jej nie błahostką. Tu realizm jest na swojem miejscu, umiał sobie wyszukać temat prawdziwy i piękny. Cała prawa (od widza) strona obrazu nie pozostawia nic do życzenia, najwybredniejszy nawet krytyk nie znajdzie tutaj estetycznego grzechu. Talent widnieje w każdym calu płótna, oświetlenie wspaniałe, powietrza i przestrzeni dosyć, sposób malowania subtelny, koloryt nieco ciemny, ale wyborne harmonizujący z oświetleniem, półtony delikatne uwydatniają plastykę wyśmienicie, a każda z osób obrazu wychodzi zeń żywa. Słabą natomiast jest lewa strona płótna, do wykończenia której nie starczyło już cierpliwości artyście.

Ze wszystkich prac nadesłanych na konkurs faktycznie ta była najlepszą i jej też słusznie należała się nagroda.

Nie możemy tego powiedzieć o utworze p. W. Gersona, mającym przedstawiać dwór Kazimierza Sprawiedliwego, który otrzymał pierwsze zaszczytne wyróżnienie. Król siedzi przy organach, otoczenie go słucha wraz z królową Heleną i Leszkiem Białym — ale jak słucha!.. Doprawdy jakby nic a nic nie rozumiało się na etykiecie dworskiej, która nawet u tego poczciwego króla umiała nakazywać uwagę i baczność na grę pana, a wzbraniała zajmowania się kreśleniem planów lub obserwacyami wróbli na dachu. Na obrazie tak ciasno, tak duszno, jak w kurnej chacie, twarze postaci przedpotopowe, niesmaczne nawet, ustawione w teatralnej pozie, koloryt mdły —

a jedyną zaletą tej pracy jest nieposzlakowany, poprawny rysunek. Całość czyni takie wrażenie, jak grupa woskowych figur—ślamazarne, rozmoczone, nieposiadające prawdy życiowej ani odrobiny, akcesorya zaś przypominają te pierwociny studyów akademickich, dla których najwłaściwsze miejsce w pracowni artysty.

Kobalt.

TEATR.

Raymond i Boucheron, *Cocard i Bicoquet*, farsa w 3 aktach.

Sztuka ta, powiedzmy z góry, mimo swego miana farsy, ma cel poważny. Nie znam bliżej, rozumie się, jej autorów, lecz wnioskując z widzianego płodu ich piór, są to najszczęśliwsi ludzie na świecie. Umieją bowiem humor, często rozpasany, wesołość, dowcip, żywość akcyi, nie zawsze prawdopodobnej, połączyć z obserwacyą umiejętną, z darem chwytania na gorącym uczynku czy to ujemnych stron naszego wieku, czy to śmiesznostek jednej z warstw społecznych, czy wreszcie błędów tej lub owej osobistości. Skarcenie, przestrogę, naukę nakrywają kapturkiem błazeńskim i podsuwają je oczom widza. Nie występują w roli grzmiącego z ambony kaznodziei, są dobrymi pedagogami raczej, którzy liczą na delikatność i domyślność ucznia.

Cocard i Bicoquet — to naprzód satyra na tych, którzy pragną zdobyć rozgłos za jakąkolwiek cenę. A w jakim celu? Czy dla wieńców, jak u starożytnych greków, czy dla tryumfu, którym rzymianie obdarzali zwycięzcę? Bynajmniej! Dzisiaj za rzekomą sławą gonią ludzie dlatego, że umieją następnie to „pojęcie oderwane" przetopić na złoto. Ci nowożytni alchemicy idą w górę jako ludzie znani. Urzędnik, aktor, literat, muzyk, malarz, kupiec, fabrykant, wynalazca, student nawet, pragnie wydobyć się nad poziom. Wie bowiem, że ogół, prócz ukłonów, nadto w nagrodę ofiaruje lepsze uposażenie i wybitniejsze stanowisko. Pierwszy dostanie awans, drugi większe honoraryum, trzeci ze znaczniejszym dochodem połączy godność redaktora lub członka uczonych towarzystw i t. d.

Nie byłoby przecież w tej ambicyi nic karygodnego, nic chorobliwego, gdyby towarzyszyły jej pracowitość, wytrwałość i rzeczywiste zdolności. Takie trzy szczeble pomagają do wywyższenia się ponad głowy ogółu. Niestety, niewielu chadza drogą prostą, podług przysłowia najkrótszą. Niemal wszystkim zdaje się, że boczne ścieżyny, wydeptane przez blagę i reklamę, prędzej doprowadzą do celu. Stąd rodzi się uganianie za sztuczkami pustemi i efekcikami, stąd herostratowa chęć wykonania czynu niezwyczajnego bez względu na wartość.

Karyera — oto hasło! Ów Cocard i Bicoquet w jednej osobie — to właściwie publiczność, obałamucana i wyzyskiwana przez karyerowiczów. Adjunkt merostwa Farjussier, który całkiem poważnie dziękuje niebiosom, że nareszcie za jego urzędowania wydarzyło się w gminie morderstwo, jest wybornym typem karyerowicza. Zamordowano kogoś, przelano krew niewinną; on cieszy się jedynie, gdyż odkryważy zabójcę, dostanie w nagrodę godność mera.

Przypomina mi to wypadek obecnie rozgrywający się na bruku naszym. Pracujemy trzeźwo, spokojnie, każde ręce, silne i ochocze, są pożądane; wtem zjawia się młodzieniec, który gwoli rozgłosu, a później — czegoś innego, mieni się naczelnikiem nowej wyprawy za morza i góry. Ludzie wierzą, bo organizator chełpi się stopniem naukowym, którego w rzeczywistości nie posiada, trąbi nadto o swych rozległych stosunkach. Dziennikarstwo nasze, nieco romantyczne i łatwowierne, wpada w pułapkę i poczyna pisać o wyprawie. Garną się ochotnicy, młodzieńcy zdolni, lecz również żądni taniego rozgłosu. Aureola opromienia głowę „naczelnika"; uwija się on po całym kraju, to tu, to tam. Portret, umieszczony w tygodniku *minorum gentium* ostatecznie wyciska pieczęć na dyplomie „znakomitości." Zaprzecza jego baśniom urzędowa *Gazeta lwowska*, przedrukowują to dzienniki wiedeńskie, ostrzegają w poufnych listach profesorowie uniwersytetu lwowskiego, nic nie pomaga. Cocard i Bicoquet uwierzył, że posąg stoi na nogach szczerozłotych, a nie glinianych i dopiero ostateczna katastrofa przekona go o smutnej prawdzie.

Pp. Raymond i Boucheron są współrodakami Pranziniego, Prada i innych morderców kobiet z półświatka. Być może, iż uczęszczali oni na sądy przysięgłych i widzieli ów histeryczny zapał, który żywiły wielkoświatowe damy dla tych zbrodniarzy. Echo owego uwielbienia, mogącego istotnie być tylko chorobą, dobiegło i do nas. Wiemy o podarunkach, nadsyłanych do więzienia, o rozrywanych na pamiątkę chustkach, o przysyłanych do cel więziennych łakociach i tysiącu innych dowodów współczucia, niczem nieusprawiedliwionego.

W swej farsie tedy umieścili oni pannę Tamerlan, która niecierpi Bicoqueta, dopóki był on zwyczajnym fabrykantem makaronu, „nieczytającym Balzaka." Uczucia jej atoli zmieniają się, gdy na mieszczucha pada podejrzenie o morderstwo. Panna Tamerlan uwielbia „korsarzy i morderców, gdyż są to ludzie siły, energii i odwagi." Na fabrykanta makaronów nie spojrzałyby damy małomiasteczkowe, mordercę odwiedzają w więzieniu, zowią go interesującym. Jego chustka, rozerwana na kawałki, jako pamiątka spocznie na ich piersiach.

Artyści grali starannie i żwawo; tytułowej roli wykonawcą, bardzo dobrym i w miarę komicznym, był p. Śliwiński.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jeszcze w sprawie stręczenia pracy nauczycielkom.— Stowarzyszenie wobec naszych przyrodzonych właściwości. — Schronienie dla nauczycielek jako stary wór dla młodego wina. — Niebezpieczeństwo opieki arystokratycznej. — Pożyteczne i korzystne przedsiębiorstwo. — Ofiara zawodu i nadmiaru niezużytej energii. — Uwodzenie do samobójstwa. — Gdzie tkwi siła wybuchowa. — Nowa oszczędność kolei Nadwiślańskiej.

Uwagom naszym w przedmiocie kantorów stręczenia nauczycielek odpowiedziało echo umysłów rozumiejących i serc odczuwających wadliwości obecnego położenia. Nie mogło być inaczej. Bo trzebaż właśnie okrucieństwa losu, ażeby bramą prostactwa i zepsucia przepędzane były na pole pracy istoty duchowo rozwinięte i moralnie wyczulone; trzebaż dziwnego wypadku, ażeby nauczycielkami handlowały zwykle pośredniczki ograniczone i niesumienne. Jeżeli przez takie ręce przechodzi modelka, panna przeznaczona do przynęty sklepowej, pokojówka itp., chociaż każda z nich może być dziewczyną uczciwą i nie dążyć wcale do upadku, nie doznając jednak tych uczuć, co kobieta ukształcona, będąca towarem przekupki. Ażeby sobie odtworzyć tę ofiarę, pomyśl moja czytelniczko, że zdobyłaś pewną wiedzę, wypiastowałaś jakieś ideały, zamierzasz je wszczepić w dusze młodzieży i musisz powierzyć się stręczycielce, która tych wszystkich rojeń nie odczuwa i która kandydatkę może zalecić jakiemuś ojcu, znudzonemu żoną, służącemi, półświatkiem i pragnącemu nowej odmiany dla swego przesyconego gustu. Niewesoła dola! Dla dobra tedy wielostronnego trzeba koniecznie zerwać z tradycyą, zaliczającą nauczycielki i ladacznice do jednej kategoryi artykułów handlowych, utrzymującej dla nich wspólny rynek podaży i popytu. Odebrałem w tej sprawie kilka projektów. Ktoś oświadcza się za utworzeniem odpowiedniego stowarzyszenia. Myśl bardzo piękna, tylko — niestety — obleczona w ciało polskie, szybko zamiera. Bez znajomości naszej historyi, tłomaczącej odziedziczony po całym przeszłym rozwoju spadek poglądów indywidualistycznych, niepodobna byłoby zrozumieć tej jedynej chyba dziś w Europie nieudolności do działań zbiorowych, którą my zdradzamy w każdem przedsięwzięciu. Nie mówiąc o żywiołach oświeconych, chłopi wszystkich narodów posiadają więcej zmysłu do kojarzenia swych sił i dążeń, niż najukształceńsze warstwy u nas. Jest to jedna z najrozpaczliwszych stron naszego życia. Widzieć na każdym kroku potrzebę i uznawać korzyść jednoczenia usiłowań, a zarazem nie módz ich trwale złączyć; patrzeć codziennie na to, jak mozolnie sprzężone biegną w przeciwnych kierunkach i nareszcie rozrywają się; posiadać zupełną świadomość swych wad i pojmować wartość zastąpienia ich przeciwległemi zaletami, słowem, przeglądać się codzień z odrazą i trwogą w własnem niedołęstwie— to okropne. Pod tym względem społeczeństwo nasze podobnem jest do rodziców, którym ciągle rodzą się dzieci i przed dojrzeniem umierają. Tu powstaje spółka jedwabnicza, tam owocarska, pszczelnicza, wydawnicza, wywozowa, artystyczna, każda w pierwszych tygodniach skupia mnóstwo ludzi, roznieca zapał, karmi nadzieje—i nagle upada bez żalu w swych wielbicielach, bez śladu w życiu społecznem. Nie setki, ale tysiące projektów wyrosły w ostatnich latach dwudziestu — a ile się spełniło? Wiatr uniósł tę chmurę dobrych chęci, która nawet nie musnęła rzeczywistości. Czemu? Czy dlatego, że były to pomysły bezcielesne, poronione? Bynajmniej — dlatego, że wymagały połączenia i sharmonizowania działań jednostkowych.

Trzeba o tem wszystkiem pamiętać, rozmyślając nad sprawą organizacyi pośrednictwa między nauczycielkami szukającemi pracy, a rodzinami, szukającemi przewodniczek dla swych dzieci. Logika i przykłady innych społeczeństw wskazują stowarzyszenie. Ale cóż począć z właściwościami naszej natury, niezdolnej do takiego przedsięwzięcia? Spróbujmy zawodnej drogi. Jeden z czytelników *Prawdy* przypomina, że przecież istnieje u nas Schronienie dla nauczycielek przy ulicy Kruczej. W jakim stanie znajduje się ów przytułek — nie wiemy, stanowi on wszakże już gotową instytucyę, która mogłaby wziąć na siebie rolę, tak nieszczęśliwie dziś odgrywaną przez kantory stręczeń. Jeśli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre weteranki nauczycielstwa posiadają jeszcze dość sił do zajmowania się takiem pośrednictwem, które nie wymaga ani młodości, ani energii, ani zdrowia. Znając zaś swój zawód i jego warunki, umieją oceniać zdolności swych towarzyszek, spełniałyby zadanie daleko rozumniej i sumienniej, niż zwykle przekupki targu pracy. Nie znamy statutu Schronienia, nie wiemy przeto, o ile w ten stary wór dałoby się odrazu wlać młode wino, ale przypuszczamy, że pożądana przeróbka tego woru nie byłaby trudną. Natomiast trudność widzę gdzieindziej — w charakterze opieki. Nasz demokratyzm jest ubogi i podrobiony na okruchy. Zasoby i — powiedzmy to szczerze— talenty stowarzyszania się posiada arystokracya i małpy, które ją naśladują. Zwykle tedy każda instytucya społeczna przechodzi pod kierownictwo tych żywiołów, czyniących z niej pole propagandy. Przypuśćmy więc, że z owego przytułku lub samoistnie powstał zakład, za kto-

rym głosujemy. Natychmiast w jego zarządzie uściele sobie gniazdo ultramontanizm, który będzie wymagał od kandydatek cnot swojego garnituru. Wtedy wszystkie, które przez zakrystyę nie przeszły, znajdą drzwi zamknięte i będą musiały zwrócić się do—neutralnych kantorów stręczeń. I oto mamy błędne koło — bez wyjścia. Czy bez wyjścia? Odpowiadam na to pytanie krótkiem objaśnieniem. Za granicą, a zwłaszcza w Niemczech, istnieją towarzystwa pedagogiczne... Ach, nie, o niebieskich migdałach mówić nie będę. Istnieją tam spółki, dwu lub trzyosobowe, a nawet biura osobnicze, prowadzone przez ludzi poważnych i uczciwych, które za umiarkowaną opłatą pośredniczą w sprzedaży i nabywaniu pracy. Zróbmy coś podobnego. Przecież to przedsięwzięcie nawet materyalnie korzystniejsze i mniej ryzykowne, niż wiele innych, w które rzucamy się i łamiemy karki. Są kobiety ukształcone, które otwierają pensyonaty i... upadają pod brzemieniem długów; czemuż żadna z tych nie założy kantoru nauczycielskiego? Dziwne z nas społeczeństwo! Trzeba ludzi zapędzać do rozumienia interu własnego i ogólnego!

Życie osobnicze nietylko zmniejsza rezultaty pracy jednostek, ale nadto osłabia w nich siły i podsyca zniechęcenie. Przed tygodniem dobrowolną śmiercią przerwał swą łączność ze światem młodzian, z którym nietylko zgasły nadzieje rodziny, ale zarazem przepadł znaczny kapitał wiedzy, uzdolnień i szlachetnych przymiotów. Jeżeli człowiek średnio zdrów zabija się w przywidzeniu, że jest nieuleczalnie chorym i jeżeli człowiek ten jest lekarzem, to na pozór mamy niewytłomaczoną zagadkę. Ale jeśli wiemy, że on był ofiarą ścieśnionego do kilku pól wyboru karyery, że więc musiał pogwałcić swoją naturę, że skutkiem tego ją nadmiernie uwrażliwił a zdobytą wiedzę przerabiał na podejrzenia względem własnego zdrowia, jeżeli wreszcie uwzględnimy ten fakt psychologiczny, że w każdym myślącym i głęboko czującym człowieku wytwarza się pewien zasób energii, którego nie zużywa ani praca zawodowa, ani stosunki prywatne i którego nadmiar w organizacyach rozstrojonych może zamienić się na siłę wybuchową, zrozumiemy przyczynę katastrofy. Gdyby można było z prawdy psychologicznej wyprowadzić regułę społeczną, a raczej gdyby taka reguła nie musiała być jedynie wnioskiem teoretycznym, powiedziałbym: starajmy się zużytkowywać wszystką energię, jaka w duszach ludzkich się gromadzi i nie pozwalajmy jej stawać się dla nich potęgą niszczącą. Niestety, jest to praktycznie niemożliwem. Pozostaje nam tylko przelewać w wyrazy smutek publiczny, równie bezwładny, jak smutki prywatne. Wspominam też o owym młodzieńcu z uczuciem serdecznego żalu. Znałem go, ceniłem i ludziłem się, że nosi w sobie obfity zapas przyrodzonego optymizmu, który mu pozwoli wszystkie cienie życia pokryć blaskami. Tymczasem nagle zmroczyła się ta piękna, jasna dusza i omdlona padła w objęcie śmierci. Bolesny widok nawet dla serc, które z sercem zmarłego nie były zrośnięte. Szkoda człowieka rzeczywistej wartości umysłowej i moralnej, a zwłaszcza że każde takie samobójstwo jest krzykiem rozpaczy, który rozlega się po społeczeństwie odgłosami zniechęcenia.

Z gęstym śniegiem tegorocznym spadli na nasz bruk dziennikarski prokuratorowie, którzy arc. Rudolfowi i Veczerze, oraz dziennikom opisującym ich śmierć wytaczają proces o uwodzenie ludzi do — samobójstwa. Przemawiają oni tak, jak gdyby odebranie sobie życia było tylko słodkim a zakazanym owocem, czemś w rodzaju zdrożnej hulanki lub romansowego bałamuctwa. Słyszę podobne bred nie, można zawołać: o naturo, jakże wielką jest rozmaitość twoich tworów! Jest to zjawiskiem znanem, że wszelki fakt, sprawiający silne wrażenie, przyspiesza chorobliwe procesy psychiczne, ale ich nie tworzy. Gdy w Wiedniu schwytano Schenka, który ograbiał i mordował służące, nazajutrz do policyi zgłosiło się wielu obłąkanych, którzy przyjęli na siebie jego zbrodnie. Wyprowadzać stąd wniosek, że Schenk wpędził ich w obłęd, może jedynie ten, kto nigdy nie straci rozumu, bo go nie ma. Podobny stosunek zachodzi z samobójstwem. Wielu, wstrząśniętych przykładem Rudolfa, może odebrać sobie życie, ale tylko ci, którzyby to zrobili bez tej zachęty, prędzej czy później, pod taką lub inną pobudką. Siła burząca dom nie tkwi w świecy, którą ktoś zapalił, ale w gazie, który się zebrał z niezamkniętej rurki. Tu, zarówno jak przy postanowieniach samobójczych, przypadek może odwrócić niebezpieczeństwo, ale jest on bardzo drobnym procentem w możliwości innych, przeciwnych przypadków, które nieszczęście sprowadzą.

A więc bale i uciechy na stacyach kolei Nadwiślańskiej z powodu ustąpienia p. Halperta były — jak ostrzegłem — przedwczesne, a duch oszczędnościowy był tylko maleńką metampsychozą. Donoszą bowiem, że duch ten zwinął szkołę techniczną w Lublinie, gdyż spodziewa się na tej operacyi coś zarobić. Prawda, że most na Wiśle już stoi, ale jeżeli utrzymanie go kosztuje zbyt drogo, kto wie, czy kolej Nadwiślańska nie zburzy go i nie każe jadącym wbród i wpław przebywać rzekę. Wogóle — jak wykazałem dawniej — sfera możliwych oszczędności jest jeszcze tak wielką, że wyczerpywanie jej starczy do końca najdłuższego życia p. Halpertowi i spółce.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Reforma sądów. Ma być rozpoznany przez Radę państwa projekt reformy sądowej w gub. nadbałtyckich. *Mosk. Wied.* donoszą, iż sądy tamtejsze podlegać mają nadzorowi izb sądowych w Petersburgu i Wilnie. Sądy okręgowe będą utworzone: w Rydze, Mitawie, Rewlu, Libawie i Felinie. Porządek postępowania karnego w ogólnych zarysach mało się różni od ogólnej procedury ruskiej. Ważniejszą różnicę stanowi brak instytucyj sędziów przysięgłych. Nadto uznano za konieczne pewne wzmocnienie urzędu prokuratorskiego do śledztw pierwiastkowych. Z powodu nieznożności zastosowania w gub. nadbałtyckich postanowień mieszczących się w ks. IV *Ust. Post. Cyw.* o postępowaniu ochronnem, wydano w tym przedmiocie szczegółowe przepisy pod nazwą „postępowań specyalnych." Artykuły *Ust. Post. Cyw.*, odnoszące się do procedury akcyjnej i upadłościowej, będą miały zastosowania w gub. nadbałtyckich ze zmianami i dopełnieniami, zawarunkowanemi obowiązującem w tych guberniach prawem cywilnem i systemem hypotecznym. Obowiązków starszego regenta nie będzie. Sędziowie pokoju i prezesi zjazdów mianowani będą przez ministeryum sprawiedliwości.

Kara za obrazę. Według *Graždanina* senat postanowił, że urzędnik podwładny, który nie przyjmie ręki podanej mu przez zwierzchnika w miejscu urzędowem, ulega poddaniu pod sąd za obrazę władzy przy spełnianiu obowiązków służby.

Ministeryum oświaty wyznaczyło w roku bieżącym na wydawnictwo podręczników dla szkół elementarnych warszawskiego okręgu naukowego rs. 4,000.

Zapomoga. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Warszawie otrzyma w r. b. z funduszów ministeryum oświaty rs. 1,650, a muzeum starożytności i biblioteka publiczna w Wilnie 8,000 rs.

Źródło nafty. W Jasach w Galicyi wytrysnęło obfite źródło nafty, dające przeszło sto beczek na dobę.

Własność artystyczna i literacka. *Mosk. Wied.* donoszą, iż ministeryum sprawiedliwości w porozumieniu z ministeryum spraw zagranicznych i wewnętrznych, opracowało nowy projekt przepisów o własności artystycznej i literackiej. Projekt oddano komisyi, zajmującej się kodeksem cywilnym.

Konkurs. Krakowska Akademia umiejętności ogłosiła konkurs na napisanie podręcznika: „Sposoby suszenia owoców i jarzyn," z terminem do 31 grudnia 1890 r. Nagroda rs. 600 z zapisu ks. Adama Jakubowskiego.

— Krakowska Akademia umiejętności ogłasza na rok bieżący stypendyum imienia Śniadeckiego, fundacyi Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 5,000 fr. Ubiegać się mogą docenci obu uniwersytetów galicyjskich, lub jednego z zagranicznych; ci ostatni jednak z warunkiem dostatecznej biegłości języka polskiego do wykładów. Na rok obecny stypendyum przypada kandydatowi, poświęcającemu się naukom przyrodniczym. Termin konkursu 1 kwietnia r. b. Do podań należy dołączyć: 1) dowód, że kandydat jest docentem — jakiego przedmiotu i jak dawno, ilu miewał słuchaczów; 2) prace naukowe, bądź już drukiem ogłaszane, bądź w rękopisie będące; 3) program studyów, które w ciągu roku odbyć zamierza. Podania wnosić należy do Akademii umiejętności.

Złe rezultaty szczepienia chorób zaraźliwych u zwierząt spowodowały, iż departament lekarski zwrócił się do p. o. oberpolicmajstra m. Warszawy o wydanie rozporządzenia, iżby na przyszłość zaniechano szczepienia księgosuszu (z wyjątkiem doświadczeń w klinikach i warszawskim instytucie weterynaryjnym). Szczepienie zaś innych zarazków może się odbywać tylko na mocy zezwolenia departamentu i pod ścisłą kontrolą miejscowego urzędu lekarskiego, oraz nadzorem policyjno-weterynaryjnym.

Komisye, przed któremi studenci mają zdawać egzaminy po odbyciu przepisanej liczby semestrów uniwersyteckich, składać się będą z tych samych profesorów, którzy wykładają odnośne przedmioty w odnośnym uniwersytecie. Tylko prezesi komisyj mianowani będą z osób stojących po za ciałem uniwersyteckiem. Programy egzeminacyjne, niedawno ogłoszone, nie będą (jak twierdzi *Kur. warsz.*) ściśle przestrzegane, przeciwnie — uwzględnianym będzie program kursu, wykładanego przez danego profesora.

Wykształcenie zawodowe. Na zjeździe dotyczącym tej sprawy w Petersburgu mają być przedstawione do rozstrzygnięcia następujące sprawy: 1) w jakiej formie i zakresie mogą być wykładane w szkole początkowej, średniej i normalnej wiadomości praktyczne z rolnictwa, handlu i rzemiosł; 2) jaką może być rola kobiety, jako nauczycielki, kierowniczki itd. w zakresie nauki profesyonalnej; 3) jakie powinno być zadanie i organizacya szkoły praktycznej obok normalnej.

Bibliografia. *Encyklopedya rolnicza* (wyd. Muzeum przemysłu i rolnictwa). Zeszyt 3 zawiera: Anatomia zwierząt domowych, antracyt, anyż, apteczka domowa, arbuz, arszenik, artel, asfalt, atmosfera, augit, Australia, azot, Azya, bagno.

— A. G. Bem, *Jak mówić po polsku*, zeszyt 1, Gebethner i Wolff.

— K. Sękowski, *Rachunkowość rolnicza* według buchalteryi podwójnej, Warszawa, nakł. *Roln. i Hod.*, str. 227.

— H. Spencer, *Socyologia*, t. I, Warszawa, nakł. *Głosu*, str. 398 i dod. 77.

— H. Merczyng, *Zasady elektrotechniki*, 164 rys. i mapa litogr., Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 251.

Towarzystwo hygieniczne. Z inicyatywy petersburskiego Towarzystwa lekarskiego w departamencie medycznym powstał projekt ułożenia ustawy normalnej dla towarzystw hygienicznych w całem państwie. Celem tych instytucyj będzie szerzenie śród miejscowej ludności zasadniczych pojęć hygieny życia codziennego, w połączeniu z nadzorem nad wypełnianiem przepisów sanitarnych.

Uniwersytet dla kobiet. W Durham na początek otwarte będą: wydział medyczny, filologii klasycznej, przyrodniczy i literacki. Słuchaczkom nie wolno strzydz włosów ani szkieł używać, chyba za specyalnem pozwoleniem lekarskiem. Utrzymanie internatek, które obowiązkowo mieszkać będą musiały w pensyonacie, oddane będzie osobom prywatnym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. Lutosł. w Moskwie. L. Krzywicki, Wspólna 39.

Panu Ziel. w P. 1) nie, 2) w jesieni.

Ogłoszenia.

Wyszły z druku

Zasady elektrotechniki

opracowane przez

HENRYKA MERCZYNGA

Kand. N. Fiz. Mat. Inżen. Kom.

(Treść: I. Wiadomości wstępne, pomiary elektryczne. II. Generatory prądu elektrycznego, mające zastosowanie w technice. III. Oświetlenie elektryczne i kanalizacya prądu. IV. Przesyłanie siły na odległość. V. Telegrafy i telefony).

164 rysunków w tekście i mapa litografowana.

Cena **2 rs. 70 kop.**, z przesyłką **3 rs.**

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa.

Zeszyt okazowy gratis.

Wyszedł zeszyt 1-szy nauki

Języka Francuskiego

(Z WYMOWĄ),

podług metody Dr. H. Loewego **z dodatkiem słownika** francusko-polskiego i polsko-franc.

Całość składać się będzie z 25-u zeszytów po 15 kop. zeszyt. Prenumeratorzy z prowincyi nadsyłający z góry rs. 3 kop. 75, otrzymają takową **franco**.

Wydawca H. OLAWSKI, Mazowiecka 6.

Okna do Kościołów artystycznie malowane.



Najtrwalsze **POSADZKI Z TERRAKOTY** (Mettlach), we wszystkich kolorach i deseniach do **KOŚCIOŁÓW**, sklepów, kuchen, kurytarzy, kąpieli, balkonów i t. d. **PIECE** zagraniczne porcelanowe i majolikowe.

KUCHNIE angielskie i **WANNY** kąpielowe.

Próby i rysunki wysyła się na żądanie gratis.

MAXYMILIAN COHN,

Warszawa, Orla 11.



GEBETHNER I WOLFF

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Największy w Kraju

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

SPRZEDAŻ NA RATY.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Wina Krymskie

oraz analizowany jako prawdziwy wyrób z Wina i przez powagi lekarskie zalecany



Kuracyjny poleca Skład Win Braci Kempnerów Długa Nr. 5.

$^1/_1$ but. rs. 1 kop. 50, $^1/_2$ but. 80 kop., $^1/_4$ but. 40 k.

Nowa Szkoła Rzemiosł dla Kobiet

A. KORYCIŃSKIEJ

w Warszawie, Trębacka Nr. 2.

Przyjmują się uczenice na Krój sukien, bielizny i szycie, Stroje, Koronkarstwo, Pończosznictwo, Haft, Rękawicznictwo, Krawaty męzkie, Szewctwo, Rysunki w zastosowaniu do rzemiosł, Litografia, Metaloryctwo, Heliominiatury, Retuszerya, Malowanie na porcelanie i atłasie, Wypalanie rysunków na drzewie i skórze, Tokarstwo, Pozłotnictwo, Koszykarstwo, Introligatorstwo domowe.

Po zupełnem ukończeniu kursów wydawane będą patenta.

PENSYONARKI PRZYJMUJĄ SIĘ.

---

135 egzemplarzy dzieła Marksa p. t.

PISMA POMNIEJSZE

i 149 egzemplarzy dzieła Fr. Engelsa p. t.

Początki Cywilizacyi

podług L. H. Morgana,

jako resztę pozostałą z nakładu tych dzieł, nadesłano z Paryża do sprzedaży księgarni G. Centnerszwera po rs. 1 za egzemplarz. Wpływy obracane będą na dalsze wydawnictwo tejże Biblioteki dzieł treści społeczno-ekonomicznej.

Ważny dodatek do Broszurki bezpłatnie i franco.



N. B. Proszę nie zrównywać mego wynalazku z reklamowanym **Gudronitem**, który nic jest niczem innem, jak zwyczajną smołą.

Tanio a dobre! OBUWIE DAMSKIE i MĘZKIE Tanio a dobre!

JAN KAMIEŃSKI

Pracownia i Magazyn, ulica Trębacka Nr. 3 I-sze piętro.

Poleca Obuwie gotowe, a także wykonywa obstalunki podług miary jaknajakuratniej na czas, z materyałów i roboty dobrej pod gwarancyą. — Wykonywa się także wszelką reperacyę bardzo prędko, bez względu z czyjej pracowni obuwie pochodzi. — Obstalunki z prowincyi mogą być nadsyłane za zaliczką pocztową.

Specyalny Skład Win Kaukazkich

pod firmą

„KAUKAZ"

136, Marszałkowska, 136, róg Śto-Krzyzkiej,

Poleca najlepsze wina białe, czerwone i słodkie naturalne w cenie od 35 kop. do 2 rs. za butelkę.

KRAWIEC

T. Niedźwiedzki i S-ka

ul. Hr. Berga Nr. 2 (róg Krak.-Przedm).

Po długoletniej praktyce fachowej otworzył Magazyn Ubiorów Męzkich, w którym posiada wybór materyałów najcelniejszych fabryk **krajowych**, zaś **tylko na żądanie** obsługuje zagranicznemi. **Dla uczącej się młodzieży**, obok **warunków przystępnych, ustępuje od cen stałych odpowiedni procent.** Stałym Klientom zapewnia wszelkie udogodnienia.

Otworzywszy Magazyn, wszelkiemi siłami postaram się zapewnić sobie powodzenie, zjednywając stałych i licznych klientów, których względami jestem zaszczycony.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Марта 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**